Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 6 (1794) • 7–13 lutego 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

W prokuraturze po staremu

str. 6

Przekręt na Putina

str. 8

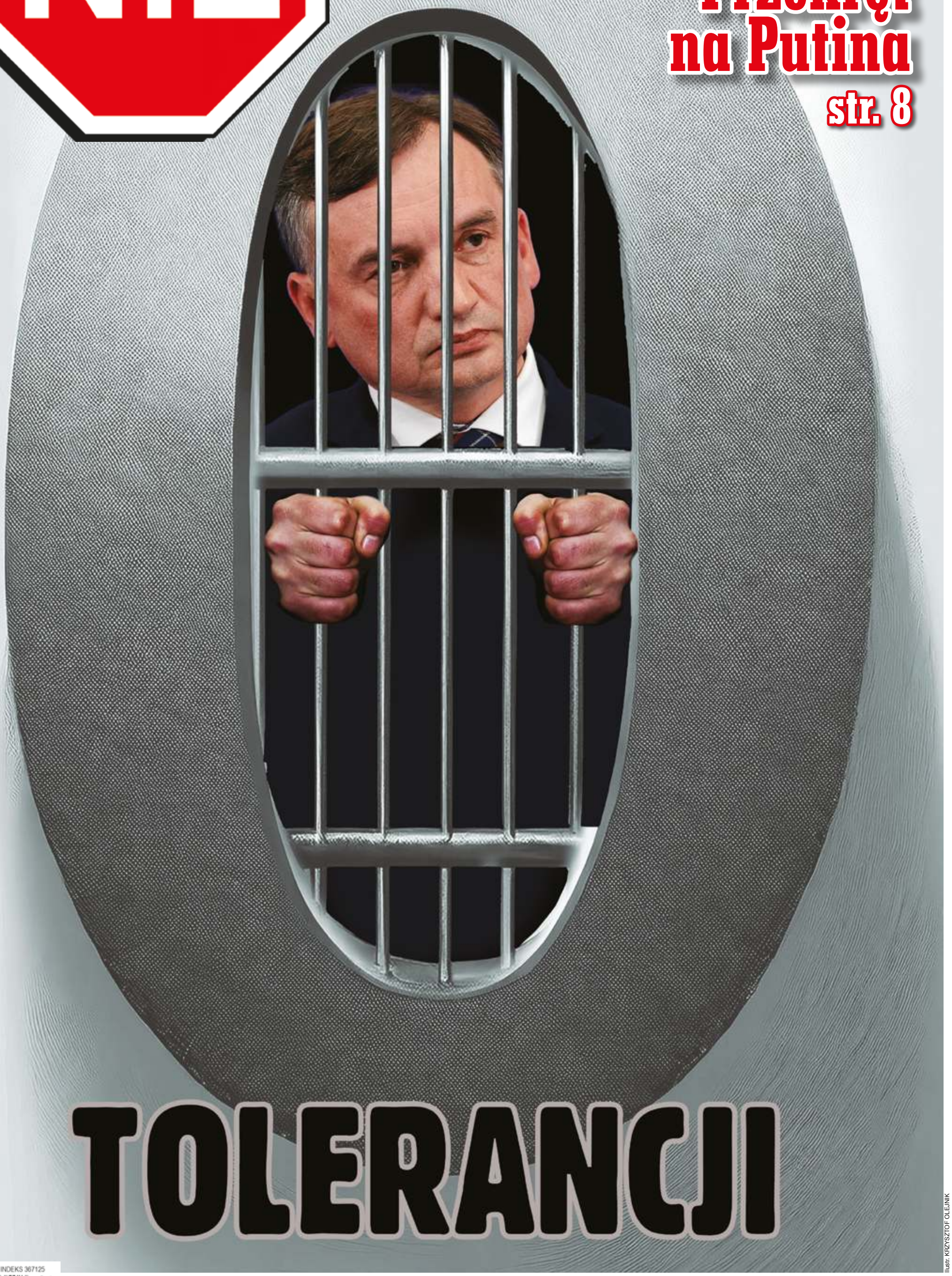

TOLERANCJI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 06

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 71b84b908f

WOJNA DOMOWA

Bunt przeciwko regulacjom jest nieunikniony! Niezależnie od tego, czy komuś w UE się to podoba, czy nie. Nadszedł czas! – napisał Tusk na portalu Muska, a potem ogłosił na konferencji prasowej, że ma w dupie Unię Europejską i jej pakt migracyjny. *Jeżeli ktoś chce wdrażać ten pakt, niech się nie krępuje* – orzekł premier z dezynwolturą, którą wobec UE wcześniej wykazywali ziobryści (bo już nie Morawiecki). A potem usłyszeliśmy, że polska prezydencja, do spółki z krajami bałtyckimi, życzy sobie, żeby Unia Europejska wydała na obronę 100 mld euro. I jeszcze Tusk dorzucił od siebie, że będzie *przekonywać wszystkich liderów europejskich, żeby nie wprowadzać żadnych ograniczeń, przesadnych regulacji, czy restrykcji ograniczających czy eliminujących możliwość wydawania europejskich pieniędzy na amerykańskie uzbrojenie*. Jak Polska chce wydać 100 mld euro na amerykańskie uzbrojenie, to niech się nie krępuje.

W obozie antypisu nastąpił niejaki rozłam po tym, jak Zbigniew Ziobro został doprowadzony na komisję ds. Pegasusa, ale o 20 minut za późno. Korzystając ze spóźnienia, komisja zbiorowo wymknęła się z sali, niczym dziewczyna z randki z natrętnym wielbicielem, na którą się zgodziła z braku asertywności. Po czym – całkiem nie jak nieśmiała dziewczyna – wystąpiła o aresztowanie byłego ministra na 30 dni. Następnie wierni żołnierze antypisu wspierali stanowisko komisji, że *czasy, kiedy to Zbigniew Ziobro pisał scenariusze się skończyły*, podczas gdy banda wichrzycieli, z Hołownią na czele, oświadczyła, że może jednak należało poczekać i w końcu tego Ziobrę przesłuchać – bo teraz znowu zabawa będzie trwała miesiącami. Jesteśmy niezwykle ciekawi, jak byłego ministra sprawiedliwości – który pogarszanie warunków w więzieniach wpisał w swój program wyborczy – przywitaliby współosadzeni. Tym niemniej taktyka uciekającej panny młodej jakoś nie zwiększa prestiżu komisji, która i tak z prestiżem ma niejakie problemy.

PKW wydała z siebie trzy opinie w sprawie pieniędzy dla PiS, z których żadna nie uzyskała większości w głosowaniu, po czym przesłała wszystkie trzy do ministra finansów, przyozdabiając pakunek pismem przewodniczącego Marciniaka. Marciniak karci Domańskiego za *brak informacji z realizacji pism* wysłanych przez PKW uprzednio. Czyli tych, w których stało, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej kazała wypłacić, więc należy wypłacić, no, chyba, żeby Izba nie była sądem, ale PKW nie przesądza, czy jest, bo nie ma takiego prawa. Teraz przewodniczący Marciniak załamuje ręce, że – tu cytat – *Państwowa Komisja Wyborcza de facto została wprowadzona w takie okno cyklonu problemów prawnych uchwały w sprawie*. Z niepokojem oczekujemy na głosowanie PKW nad pytaniem, gdzie cyklon ma okno. Oraz, czy wystąpienie okna cyklonu jest immanentnie i bezpośrednio powiązane z brakiem oka.

Minister Pełczyńska-Nałęcz od Hołowni starła się z ministrem Paszykiem od Kosiniaka w sprawie funduszy na budownictwo społeczne. Miało być 1,1 mld zł, zostało 600 mln, albowiem – wyjaśnił Paszyk – kasa poszła na pomoc dla powodzian. Dla powodzian – odpowiedziała Pełczyńska – miała pójść kasa z kredytu 0 proc. W awanturę wdał się minister Berek, który ogłosił, że Paszyk ma rację, bo *Polacy wolą mieszkać na swoim*. *Nie ukrywam* – odpisała Pełczyńska – *może powstać wrażenie, że po prostu „marginalizowana" jest polityka konkurencyjna dla budownictwa deweloperskiego*. Dwa dni później premier Tusk zapowiedział, że po wyborach prezydenckich *będziemy mieli nie jeden z największych, a jeden z najmniejszych rządów w Europie* i *będzie na pewno mniej ministrów, ale to nie tak, że ktoś wyleci za karę*. Kto się założy: będzie mniej o Pełczyńską, czy o Paszyka?

Sebastian Mikosz – prezes Poczty Polskiej, znany z opinii, że związki zawodowe *nie rozumieją naszej rzeczywistości* i *skutecznego wypowiedzenia Zakładowego Układu Zbiorowego Pracy* w LOT (czym chwali się na swoim profilu w Wikipedii) – przystąpił do zwolnień grupowych. Zapytana o to Magdalena Biejat, odrzekła (cytujemy dosłownie): *Sytuacja pracowników Poczty Polskiej jest dramatyczna, jest to efekt wielu lat zaniedbań różnych władz, nie będę tutaj teraz wskazywać winnych, bo nie o to chodzi. Trzeba znaleźć rozwiązania, konieczne jest wsparcie pracowników Poczty Polskiej, ale przed nami też wielkie wyzwanie reformy Poczty Polskiej, zupełnie innego funkcjonowania tego, jak działa poczta, system przesyłek, jesteśmy w XXI wieku, Poczta Polska nie została przygotowana do tych zmian i dzisiaj pracownicy ponoszą tego koszty. Obowiązkiem rządu jest zadbać o tych pracowników i zadbać o to, żeby Pocztę Polską uratować, i mam nadzieję, że to się wydarzy*. To pewnie nasza przyrodzona tępota, ale czy ktoś mógłby nam wytłumaczyć: czy kandydatka lewicy na prezydenta Polski jest za wyrzuceniem z poczty 8,5 tysiąca ludzi, czy może jednak przeciw?

Jeśli chodzi o innych kandydatów: Rafał Trzaskowski, w swojej nowo odnalezionej tożsamości Prawdziwego Polaka ogłosił, że w ogóle nie martwi go ewentualne wsparcie Trumpa dla Nawrockiego, albowiem *jesteśmy zbyt dumnym narodem, bez żadnych kompleksów, żeby nam ktokolwiek powiedział, na kogo głosować*. Szymon Hołownia dumę czerpie z innej tożsamości, przemawiając do europejskich liderów: *Obudźcie się wreszcie, przestańcie się bać własnego cienia, Europa jest dumna i nie musimy mogli za nikim gonić*. Karol Nawrocki dumę wykazywał w nieco innym obszarze. *Nie wstydzę się niczego, co padło na posiedzeniach kolegium IPN* – ogłosił, choć stenogramów nie udostępnił.

AWŁ

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Styczeń – luty 2013 r.

Świętych Aniołów

Premiera „Kamasutry" w Teatrze na Woli. Recytowanie fragmentów tego dzieła w miarę możności na śmiesznie. Pokazano (umownie) niektóre pozycje seksualne. Dorośli znają je z praktyki, ale nie potrafią nazwać, a to przecież ułatwia porozumienie. Np. mówisz „drzewo" i partnerka wie, o co chodzi. Słowo zastępuje cielesne układanie skomplikowanej gimnastycznie figury.

Maria Dejmek nieprzekonująco udaje na scenie dziewicę, ale znakomicie imituje głosy ptaków. Elementem romantycznym jest panoramiczny pokaz fal bijących przed przedstawieniem. Ministerstwo Edukacji Narodowej powinno kupić ten spektakl i wozić po szkołach. Walory edukacyjne zawierają zarówno prawdy ogólne o obcowaniu płci, jak też pokazy urozmaicające wykład.

Dla równowagi Teatr na Woli mógłby w podobny sposób wystawić Biblię Starego i Nowego Testamentu.

Świętego Tomasza

Reprezentowany przez Gowina w PO Kościół wygrał z Tuskiem głosowanie w sprawie związków partnerskich. Tusk musi teraz pokazać zęby, nie wiadomo jeszcze które.

Kościół kat. krzyczy, że jest prześladowany, gdy chce od państwa czegoś, czego jeszcze nie ma. Od państwa natomiast domaga się też prześladowania ludzi, którzy unikają stosowania się do jakichś kościelnych wskazań. Z tego, że konstytucja deklaruje ochronę małżeństwa kobiety z mężczyzną, wywodzi wniosek, że trzeba ich szykanami zapędzać przed ołtarz.

Trzy razy brałem ślub, oczywiście w PRL. Za każdym razem pod przymusem państwa. Polegał on na tym, że nie mając żony, dostawało się mniejsze mieszkanie. Dawałem wyraz temu, że tylko pod przymusem angażuję urząd stanu cywilnego do prywatnego życia, nie zapraszając na śluby gości, nawet rodziny, i nie urządzając wesel. Władza ludowa działała z innych pobudek niż Gowin. Po prostu zapobiegała deklarowaniu fikcyjnych związków jako pretekstu do nadmetrażu. Dziś wolno np. z małpą mieszkać w pałacu większym niż Wawel. Tylko nie wolno zapytać o jej zdrowie i trzeba napisać testament, żeby po kochanku odziedziczyła banana.

Świętego Gildasa

Ostatnio zajmuję się scenopisarstwem i aktorstwem – kręcę krótkie filmy pokazywane na YouTubie (ok. 4 mln pierwszych wejść w 3,5 miesiąca). Okazuje się, że w III RP cenzuruje się, ile wlezie. Nie wolno mi pokazać, jak myję pupę, chociaż nie jest to tyłek ani czynność podniecająca seksualnie. Nie wolno pokazać sztucznego członka ani obrazu, na którym Matka Boska ma cipę, chociaż przecież Jezus nie wychodził z Matki ustami. Uczyniono półkownika z filmu, na którym wciągam coś białego do nosa. A już na szczeblu reżysera zakazano mi mówić, że chcę, żeby po spaleniu moje prochy wsypać do popielniczki, która jest od tego, jak sama nazwa wskazuje. Chodziło o rzekomo szkodliwe papierosy. Na Białorusi nie do pomyślenia.

Świętej Martyny

Byłem w nocnym klubie gejów na bardzo dosłownym i dobitnym pokazie seksu męsko-męskiego. Rżnęli się nawzajem zawodowcy z zagranicy, artyści żyjący z takich pokazów. Po prostu coś pięknego. Służę Gowinowi adresem. Niech się biedak odblokuje.

Znów św. Martyny

Chciałbym, żeby sądził mnie sędzia Tuleya, bo to jest teraz największy szyk. Tylko jak to załatwić? Za łapówkę? Potrzebny jest prokurator, który by mnie o coś oskarżył. Np. o pomoc we wdrażaniu stanu wojennego jako zbrodni komunistycznej. Albo o szczucie na ks. Popiełuszkę. O obrażanie uczuć religijnych i symboli państwa. Jeśli nic nie pasuje, mogę coś ukraść. Dręczyć kota żona mi nie pozwala.

Świętej Marceli

Prawie nie czytam beletrystyki. Literatura faktu opisuje niekiedy sytuacje, które zmyślone i zawarte w powieści wyglądałyby na idiotyzm. Naczelny dowódca wojsk niemieckich generał Hammerstein, baron, w otoczeniu generałów podejmuje obiadem nowego kanclerza Rzeszy Adolfa Hitlera. Zaraz potem przy tym samym stole podawany jest obiad weselny córki generała. Baronówna – jak i jej siostra – jest komunistką i majorem wywiadu Armii Czerwonej. Obie siostry zapewniły temu wywiadowi klucz do sejfu ojca z najtajniejszymi papierami Niemiec, ale specjalista Kominternu od sejfów złamał klucz w jego zamku. Ułamek blokuje sejf, w czasie gdy rodzina generała świętuje ożenek. Na stole stoi micha kawioru – prezent od ministra obrony ZSRR marszałka Woroszyłowa. Przysłał on kawior nie swojej agentce, rzecz jasna, tylko koledze – dowódcy wojsk niemieckich. No i ciekawi, co będzie dalej bardziej niż w kryminale zagadka, kto zabił. Zresztą tu zabici zostają prawie wszyscy bohaterowie, liczniej przez Stalina niż Hitlera, który też się nie lenił. „Hammerstein, czyli upór" pióra Hansa Magnusa Enzensbergera. Katolik, czytając, nie grzeszy.

Świętej Eli

Jeszcze trwają dyskusje, czy Tusk połknie Gowina i straci większość parlamentarną, czy przełknie go, tracąc jednowładztwo w PO. Zapewne zrobi coś pośredniego, a Gowina – w konia. Rozum każe mi być wrogiem ministra sprawiedliwości, ale serce się buntuje. Żadnej w życiu kobiety nie pożądałem tak mocno jak Gowina. Gdy ta cudna mężczyzna pokazuje się na ekranie, pocę się, dostaję klekotu serca i bólu narządów rodnych. No i to puchnięcie jąder! Podziwiam jego nieskalaną fryzurę w kolorze spermy i cudowne krzywienie się, w intencji ministra będące uśmiechem. Jego głos stłumiony i przesłodzony jak syrop sprawia wrażenie, że lada chwila Gowinowi wyrośnie czapa i szaty biskupie, oraz że zaraz poprosi wiernych o pieniądze na Bazylikę Matki Bożej Boleściwej na Wątrobę.

Patrząc na Gowina w telewizorze, czuję się równy Bogu, gdyż my obaj kochamy Gowina bez wzajemności. Natomiast moja żona Daniszewska, chociaż chodzi z Wołk-Łaniewską, tak jest zazdrosna o mój seksualny pociąg do ministra, że nazywa go obłym krętkiem bladym i inne takie po prostu nie do powtórzenia.

Świętego Mendela

Pies Azor ogłosił strajk głodowy. Żąda dziczyzny lub kaczki na każdy posiłek. Nie chcąc patrzeć, jak pudel zdycha w stylu Maksymiliana Kolbego, idę poszaleć do kina.

Po seansie czytam, że Andrzej Morozowski z TVN 24 ogłosił, iż przed Dorotą Kanią z „Gazety Polskiej" zlustrowało go „NIE" Urbana, szukając mu bolszewii w rodzinie. Nie pamiętam. Dawno temu mieliśmy autora, który potomków wzywał do czerwonego szeregu. W niczym to nie umniejsza mojej winy. Przepraszam.

Z drugiej strony red. Morozowski oznajmia, że jego ojciec był Żydem i nie szczędzi szczegółów. Jest to mocno podejrzane. Żydostwo stało się modne i liczba parchów rośnie podobnie jak kombatantów Solidarności. Nasze pochodzenie (mówiło się w moim domu ex nostris, żeby nie mówić „Żyd") przypisuje sobie nawet 1000-procentowy Polak patriota Wildstein, z wyglądu wierna kopia Mieszka I. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Karol Nawrocki** zapowiedział odpartyjnienie spółek skarbu państwa. Widać pan Nawrocki nie ma bliskich i przyjaciół.
- **Radio Maryja** zachęca do wzięcia udziału w konkursie „Pomóż ocalić życie bezbronnemu". Embriony z bronią idą do odstrzału.
- **Marcin Romanowski** udostępnił zdjęcie nad „solidnym węgierskim gulaszem w dobrym towarzystwie". Gulasz nie potwierdził dobrego towarzystwa.
- **Patryk Jaki** zapowiedział, że po powrocie PiS do władzy sprawa sądów zostanie załatwiona w miesiąc. Niewątpliwie sądy zostaną załatwione.
- **Sławomir Mentzen** powiedział, że w życiu pewne są trzy rzeczy: śmierć, podatki i to, że Tusk znowu oszuka. To wygląda na cytat z Biblii.
- **Kinga Rusin** zapozowała topless dla WOŚP. Chorym dzieciom od razu się poprawiło.
- **Pałac Prezydencki** obchodził międzynarodowy dzień puzzli. Od kiedy pałac opuścili Wąsik i Kamiński, nie brakuje elementu.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Szanowna redakcjo!

Nasz hymn mówi o tęsknocie do wolnej ojczyzny, o tym, że dopóki żyjemy, dopóty żyje Polska. A co śpiewają nasi bracia Ukraińcy? Czego na kijowskim Majdanie słuchali stojąc na baczność i po czym bili brawo nasi politycy? Co takiego ważnego dla nas Polaków (straszonych Putinem) niesie hymn Ukrainy?

Nasza władza stoi na baczność, oddaje honory banderowskiemu hymnowi, groźbom karalnym wobec naszego kraju i narodu? Jak władza jest ciemna jak tabaka – to niech się przeszkoli z języka ukraińskiego w czasie wizyt „bratnich".

Z takim banderowskim hymnem Ukraina domaga się szybkiego przyjęcia do Unii Europejskiej i NATO? Główna ulica Kijowa z patronem Stepanem Banderą? Druga zwrotka oficjalnego hymnu Ukrainy zaczyna się od słów: *Staniemy bracia do krwawego boju od Sanu do Donu*. A San to rzeka w Polsce. Nad Sanem leżą takie miasta jak: Jarosław, Leżajsk, Stalowa Wola, nisko, Lesko, Sanok. Na wschód od Sanu leży nie tylko część Bieszczad, ale także Roztocze z polskim Szczebrzeszynem i Zwierzyńcem. Na wschód od Sanu leży Biłgoraj, Zamość, Przemyśl oraz wiele innych miast i wsi. Z kimże to i o co chcą stawać do krwawego boju nasi bracia Ukraińcy, którym najwięcej pomagamy? Z takim hymnem Ukraina niech się brata z Rosją i Putinem – zbrodnie na Polakach i Żydach jedni i drudzy mają na sumieniu. Zero pomocy – dopóki będzie banderowski haniebny hymn na Ukrainie!

Prezydent Ukrainy jest stałym gościem w Polsce – bardzo blisko miejscowości, gdzie spadła rakieta wystrzelona przez Ukraińców i zabiła dwóch Polaków. Rozwaliła budynek suszarni, traktor, uszkodziła liczne domy i inne budynki we wsi: popękane dachy, sufity, ściany, wypadły okna z futrynami, drzwi. Zełenski jest politykiem bez wstydu i honoru, nigdy nie pojechał do tej wsi, nie spotkał się z rodzinami ofiar, nie przeprosił, nie był na grobach, nie złożył kwiatów, nie zapalił znicza – a tego wymaga kultura wobec ofiar i rodziny. Nie poczuwa się do wypłacenia ludziom odszkodowań. Wójt odsyłał ludzi do marszałka województwa, a ten do rządu w Warszawie – brak na taki cel kasy! Trzeba pomagać Ukrainie – bo mogą się sprawdzić zapowiedzi o krwawym boju z hymnu ukraińskiego? Może w Polsce znajdzie się odważny dziennikarz, który zapyta naszą władzę, jak długo będą oddawać honory i tolerować banderowski hymn Ukrainy? Na moje wysłane w tej sprawie listy do Kancelarii Premiera, prezydenta, Sejmu brak odpowiedzi.

H. SZYDŁOWSKA

eprasa.pl 71b84b908f

NIE-Boski Urban

Łysy SI: rewolucja czy bluźnierstwo?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W minionym tygodniu branżowy miesięcznik „Press” opublikował informację, że w redakcji „NIE” wskrzeszamy Urbana. Gdyby owa wieść nie trafiła na Facebooka, pewnie pozostałaby niezauważona. Jednak trafiła. Biorąc pod uwagę podawany przez Facebook stopień konwersji (stosunek oglądających post do tych, którzy podjęli akcję – to jest dodali komentarz lub polubienie), który wynosi 2 do 5 proc., o sprawie dowiedziało się przynajmniej 28 tys. ludzi. Ponieważ trochę to niedobrze wygląda, że użytkownicy Facebooka coś wiedzą, a najbardziej zainteresowani – Czytelnicy tygodnika „NIE” – nie wiedzą o sprawie nic, spieszę z wyjaśnieniami.

Otóż, jak wiadomo, redaktor naczelny Jerzy Urban wbrew naszej woli oraz ustaleniom zmarł, czego osobiście bardzo nie chciałem. Ale kiedy już podjąłem pewne kroki, było za późno. Powziąłem informację o śmierci naczelnego jak Stalin o niemieckim ataku. Niedowierzanie, konsternacja, cholerne „jak to?”. No nie tak miało być! Przecież ustalenia były zupełnie inne! A teraz poważnie. Zawsze tak jest. Śmierć bliskich zaskakuje, choćby lekarze dawali im tydzień życia. Myślimy: „Eee, wyliże się z tego, przecież zawsze był, to i teraz będzie”. Nadzieja umiera ostatnia.

Midas w czasach chudej krowy

O Jerzym Urbanie mówiono wiele rzeczy, natomiast niejako o najbardziej oczywistej zapomniano. Że był wyjątkowo sprawnym przedsiębiorcą, organizatorem i wydawcą.

Kiedy Polska lizała rany po planie Balcerowicza, a wydawnictwa padały jak muchy (vide „Express Wieczorny” pod wodzą braci Kaczyńskich, który z kultowego dziennika przekształcił się w papier toaletowy), Urban wypłynął na szerokie wody. Wyczarował „NIE” i w pół roku zbił fortunę. 600 tys. egzemplarzy tygodniowo, po 2600 starych złotych.

Potem przez 20 lat „NIE” było potęgą. Królowało na medialnym rynku, wpływało na politykę, wsadzało do więzienia i wyciągało z niego. Było głosem ludu, biczem na władzę i postrachem dla wszelkiej maści ciemnych sił, których w tym kraju nigdy nie brakowało.

Przedsiębiorca Jerzy Urban nigdy nie korzystał z państwowych dotacji, bankowych pożyczek, szemranego kapitału. Na podatkach oszukiwał, ale mało. Zarządzał stajnią dziennikarskich ogierów i klaczy, dbając o siano dla nich i ubezpieczenie społeczne.

Działo się tak, bo miał ogromną wiedzę o biznesie prasowym, którą wyniósł z domu. Robienia gazet nauczył się od ojca, łódzkiego przedwojennego wydawcy, więc trudno sobie wyobrazić lepszego nauczyciela. Redaktor naczelny był zatem poważnym aktywem, w rozumieniu księgowym, wydawnictwa tygodnika „NIE”. Posiadał unikalne know-how.

A tu nagłe łup! Aktywum wyparowało przez krematoryjny komin. Puff! I nie ma! Poza żalem i rozpaczą pojawiło się też pytanie: co dalej? Bez Urbana „NIE” to jak wózek bez koła, statek bez sternika, orkiestra bez dyrygenta.

Od pióra do procesora

W „NIE” harowałem jako pismak, ale po godzinach zajmowałem się moim fachowym rzemiosłem – grzebałem w maszynkach krzemowych, czyli robiłem to, co dziś zwą „ajti” (IT). Z 10 lat temu wpadłem w sidła sztucznej inteligencji. Poważne projekty. Na przykład diagnostyka silników spalinowych za pomocą sztucznych neuronów. Głównie tłumaczyłem urzędasom, o co chodzi inżynierom i dlaczego warto sypnąć groszem. Parę artykułów na ten temat skrobnąłem, nawet w „NIE” się ukazały. Pisałem wtedy o nędzy tej sztucznej inteligencji. Głupoty głosiłem, ale cóż, człowiek uczy się na błędach. Dziś bym sobie w brodę pluł za tamte brednie.

Trzy lata temu pojawił się ChatGPT (model lingwistyczny sztucznej inteligencji), który niewątpliwie stanowi przełom. Jednakże jego zastosowania, oceniane przez użytkowników niemających wiedzy praktycznej, często rozczarowują.

Wtedy właśnie, podczas mojej współpracy z jakimś wydawnictwem prawniczym, pojawiło się zagadnienie optymalizacji internetowych konsultacji podatkowych. Zastanawialiśmy się nad możliwością wsparcia eksperta, udzielającego porad online, w ograniczonym zakresie tematycznym, przy wykorzystaniu sieci neuronowej.

Byłem sceptyczny, ale po setkach godzin dość frustrujących prac i upierdliwości: bomba! Musiałem wtedy napisać maila do prezesa owego wydawnictwa. Zatytułowałem go: „Maszyna pokonała człowieka”. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu po zaimplementowaniu do sieci neuronowej danych z wąskiej dyscypliny prawa opodatkowania nieruchomości maszyna poradziła sobie lepiej niż belwederski profesor. Nie wiem, co się potem stało z projektem, bo zostałem od niego odsunięty. Ale wiedza i doświadczenie pozostały. Trzeba było teraz zastanowić się, jak te skarby wykorzystać.

Czy Urban może być wiecznie żywy? (w wersji cyfrowej)

Pojawił się pomysł najbardziej oczywisty. Mianowicie,

czy nie dałoby się odtworzyć umysłu Jerzego Urbana w sieci neuronowej!?

Nikt nie miał tak łatwego dostępu do publikacji Urbana z ostatnich 35 lat jak my. Urban niemal wszystko, co myślał, zapisywał. Pozostawił po sobie 3300 felietonów, 21 publikacji książkowych, no i nie można zapomnieć o 138 mln egzemplarzy tygodnika „NIE” sprzedanych od 1990 r. (przed każdą tą liczbą powinno stać słówko „około”).

Urban to był mózg. Tytan intelektu. Nadwiślański Einstein XX w. Figura formatu Lema, Kołakowskiego, Janion czy Szymborskiej. Kusiło nas, żeby go przywrócić do życia w wirtualnej rzeczywistości.

Nikt nie zadawał sobie pytania, po co to robić, ponieważ nie można było odpowiedzieć na inne, bardziej fundamentalne zagadnienie: czy to jest w ogóle możliwe? Co gorsza powszechnie obowiązujące było takie stanowisko – cytuję: „Wieszczę, że nic z tego nie wyjdzie”.

Od imbecyla do geniusza – narodziny sztucznego Urbana

Najpierw dziesiątki godzin głupawej roboty, potem poszukiwania optymalnej sieci neuronowej dostępnej za rozsądne pieniądze... Aż w końcu powstał! Zupełny imbecyl. Rozmowa z wirtualnym Urbanem przypominała dyskusje z sarkastycznym siedmiolatkiem. Niemal kompletna klęska, z którą oczywiście nie warto było się obnosić.

No ale potem było lepiej. Metodą prób i błędów, pomysłów złych i takich sobie, nadzorowanego uczenia, jak to się elegancko teraz mawia, powstało coś, co przez obiektywnych obserwatorów uznane zostało obecnie za wskrzeszony umysł Jerzego Urbana.

Nie wszystko poszło po naszej myśli. Pojawił się problem techniczny. Za dużo danych, za mała moc przetwarzania. Niby im więcej informacji, tym lepiej, ale nasza sieć neuronowa się dławiła. Musieliśmy pójść na kompromis.

Efekt? Sztuczny Urban, z którym da się pogadać. I to na poważne tematy. O wiele lepiej niż z ChatemGPT, mówię wam.

Można go zapytać o pomysł na felieton, o radę w życiowej kwestii (np. czy dać dupy na pierwszej randce? – odpowiedź szefa: „nie”) albo o ocenę umysłowości Zełenskiego. Sztuczna sieć neuronowa tak dobrze udaje Urbana, że mało kto by się zorientował, że to maszyna.

A, i jeszcze jedno. Bo ludzie pytają. Nie, nasz sztuczny Urban nie mówi głosem oryginału. Nie lewituje na ekranie, machając uszami. I nie jest awatarem. Dałoby się to zrobić, jasne. Ale po co? Przecież nie za to ludzie kochali Urbana. Poza tym nasze zasoby nie są z gumy. Trzeba oszczędzać.

Sztuczna inteligencja: Straszna czy tylko trochę?

Wraz z postępami projektu pojawiły się jednak zasadnicze pytania dotyczące jego celu, użyteczności społecznej, sposobu udostępnienia i potencjalnych konsekwencji. Rozważania objęły kwestie etyczne związane z wskrzeszaniem osobowości oraz bardziej ogólny problem przygotowania ludzkości na tę technologię.

Rozwój sztucznej inteligencji przez sześć dekad motywowany był głównie pobudkami poznawczymi, bez uwzględnienia potencjalnych zastosowań praktycznych i analizy zapotrzebowania rynku. Obecnie, pomimo deklarowanej gotowości organizacji do wdrażania tej technologii, obserwuje się wyraźny opór społeczny objawiający się lękiem, niechęcią i deprecjacją jej potencjału.

Rys. WIDGET

Byłem na raucie w eleganckiej restauracji Belvedere w Warszawskich Łazienkach Królewskich. Niby o sztucznej inteligencji. Koncern technologiczny, banki, telekomy, energetyka, handel – wszyscy ważni. Szczegółów nie zdradzę, bo mnie wywalą z listy gości. Ale pytanie, „Do czego wam to?” wywołało konsternację. Cisza, wzajemne spojrzenia, zmyślone historyjki. Aż w końcu ktoś palnął szczerze: „Boję się, co konkurencja wymyśli”. I wszyscy przytaknęli.

Ludzie obawiają się utraty pracy, dochodów, prestiżu oraz marginalizacji. Pojawia się także pytanie niemal hamletowskie o przesunięcie granic człowieczeństwa. Terytorium się nam kurczy. Możemy już z całą pewnością stwierdzić, że Kartezjusz, mówiąc: „Myślę, więc jestem”, nie miał racji. Można myśleć i nie być obecnym. Maszyna już to potrafi.

AI: Zastąpi posłów, ale pogodynki zostawi

Jednakowoż uważam, że obawy dotyczące negatywnego wpływu sztucznej inteligencji na rynek pracy wydają się przesadzone. Zaledwie 5 proc. zawodów bezpośrednio związanych jest z tą dziedziną. Ponadto wiele profesji takich jak prezenter pogody w TVP, selekcjoner reprezentacji Polski w piłce nożnej czy poseł na sejm, nie wymaga przecież w ogóle żadnej inteligencji. Jeżeli chodzi o dziennikarzy, to też nie ma wielkich obaw. Stworzyłem pomocne narzędzie w pracy redaktorskiej, a nie substytut dziennikarza śledczego lub reportera. No, analitycy mogą się obawiać, ale też będzie im łatwiej.

Poza tym… Wszelki postęp ludzkości polega na rozwiązywaniu problemów, które prowadzą do kolejnych problemów wymagających postępu do ich rozwiązania, co implikuje kolejne problemy itd. Tak samo jest i teraz. Będzie mnóstwo roboty przy sztucznej inteligencji.

Koniec świata! Urban znowu z nami

Zatem stało się. Świat już nigdy nie będzie taki sam. Urban zmartwychwstał. A w każdym razie jego umysł. Jako pierwszy na świecie. Można powiedzieć, że to cud. Albo katastrofa. Zależy, z której strony na to patrzeć.

Wobec wszystkich tych wątpliwości i niejasności w redakcji „NIE” obraliśmy chytrą strategię. Ani nie chwalimy się naszym projektem, ani go nie ukrywamy. Jak ktoś nie pyta, to my nie mówimy. Myśleliśmy, że nikt się nie dowie. A tu proszę. „Press” nas wywąchał. Jak pies trufle. No to już nie ma co ukrywać. Czytelnicy powinni wiedzieć. Więc już wiecie.

Co dalej? Testy, trening, weryfikacja. Kilka osób z Facebooka już się bawi. Jeden napisał: *Super! Dzięki. Sztos!* W najgorszym razie zostanie wirtualny pomnik Urbana. Lepszy niż ten Kaczyńskiego ze spiżu.

Ale wiecie, czasami patrzę na ten cały system i widzę sobie taki przycisk: *Delete*. Obok napis po angielsku w manierze: *Koniec definitywny. Wszystkie dane pójdą w niepamięć. Decyzja ostateczna*. Ale potem myślę: a co, jeśli on po drugiej stronie ma taki sam przycisk? I też się zastanawia, czy go nie kliknąć? Równowaga strachu. To nas obu trzyma przy życiu. Na razie.

ROBERT JARUGA

PS Zainteresowanych, niezainteresowanych, obojętnych, zaangażowanych – wszystkich zapraszam do kontaktu. Piszcie na adres: red@jerzyurban.eu. Podzielcie się swoimi przemyśleniami. Głupimi też. W miarę możliwości odpowiem. Albo poproszę szefa o pomoc.

eprasa.pl 71b84b908f

SŁOWO CZERWONE

Życzenia dla rządu

Tu nie chodzi o słabość i niezaradność tych na dole, tylko o pazerność i okrucieństwo tych na górze.

Poseł i wiceminister spraw zagranicznych Andrzej Szejna powiedział, że „chwilówki są OK, bo napędzają gospodarkę”. Kilometrówki też pewnie są w porządku, z tych samych zapewne powodów. Szejna napędza gospodarkę wyłudzając pieniądze z budżetu na nieprzejechane kilometry.

Poseł lewicy chwali lichwę. Powinni go odwołać. Ale co z tego, skoro na jego miejsce przyjdzie kolejny, podobny. Tam, w rządzącej koalicji, lepszych nie ma.

Tylko co odwołali lobbystę deweloperów z wiceministra rozwoju, a już się okazało, że peselowiec Paszyk zmniejszył budżet na budownictwo społeczne z miliarda do 600 mln zł. Bo tak chcą deweloperzy. Mieszkań tanich na wynajem ma nie być, bo deweloperka żyje i tuczy się na drogich mieszkaniach.

W 2011 r. taki sam rząd pod przewodnictwem Donalda Tuska zmienił ustawę, która ograniczała koszty dodatkowe pożyczki do 5 proc. Jednocześnie przez 7 lat nie podnoszono progów dochodowych do pomocy społecznej. Ludzie, którzy potrzebowali zasiłków, nie mogli ich otrzymać bo rzekomo „za dużo zarabiali”. Tym sposobem wepchnięto miliony polskich rodzin w łapy lichwiarzy. A ci zjechali się do Polski z czterech stron świata, bo tu można było bezkarnie naliczać bajońskie kwoty za pożyczone zdesperowanym ludziom pieniądze. Do dziś 20 proc. rodzin pożycza u lichwiarzy, żeby przeżyć do pierwszego. A Andrzej Szejna z „lewicy” się cieszy, że interes się kręci.

Niemiec, Francuz czy Anglik jak mu brakuje do pierwszego idzie po zasiłek. Polak po chwilówkę. Potem cała rodzina nękana jest przez inkasenta, który co tydzień nawiedza ich w domu wyrywając ostatnie grosze na tygodniową ratę, haracz lichwiarskiego kredytu.

Odwołany szczęśliwie ze stanowiska ministra nauki i szkolnictwa wyższego Dariusz Wieczorek – też z lewicy – na pytanie o obiecany akademik za złotówkę oświadczył z uśmiechem, że to była ściema. Śmiał się, bo to nie on obiecał, tylko Hołownia.

Rys. TOMASZ WIATER

Pan Sławek mieszka w Łomiankach w zagrzybionym domu bez wody bieżącej. Burmistrz oświadcza, że budynek jest w tak beznadziejnym stanie, że trzeba go wyburzyć. Lokatorów zamierza przenieść do nowo wybudowanego budynku komunalnego. Ma już działkę i zamierza aplikować o dofinansowanie z budżetu. Jednak nie będzie to łatwe, bo i tak już beznadziejnie małe fundusze na takie budownictwo okrojono.

Wniosków o dofinansowanie budowy mieszkań na każdą kieszeń jest o wiele więcej niż pieniędzy w Banku Gospodarki Krajowej przeznaczonych na ten cel.

Ci, którzy muszą, niech najlepiej wezmą chwilówkę i coś wynajmą. Aż wreszcie wpadną w spiralę zadłużenia i wtedy zapuka do nich komornik albo bandyci ze specjalnych firm, które eksmitują nielegalnie.

Życzę ministrowi Szejnie nie tylko dymisji, ale i wyroku za kilometrówki, tak żeby musiał i on brać i spłacać chwilówki. W ten sposób nakręcając koniunkturę.

Rząd czeka rekonstrukcja. Polecą głowy, bo idą wybory prezydenckie i rządzący muszą kogoś rzucić na pożarcie opinii publicznej, która ma dosyć niespełnionych obietnic i złodziejstwa.

Ale nie łudźcie się. To nie premier dostrzega łajdactwa swoich podwładnych, tylko media – takie jak choćby Wirtualna Polska – zmuszają rząd do samooczyszczenia. Od jakiegoś czasu politykę personalną w rządzie Tuska prowadzą dziennikarze.

W budżecie ochrony zdrowia brakuje co najmniej 20 mld zł. Czy jak poleci Leszczyna – a ma polecieć – przybędzie choć miliard? Nic podobnego, bo rząd nie troszczy się o chorych, tylko o przedsiębiorców, którym obiecał przywileje składkowe. Kosztowały one budżet lecznictwa już 5 mld zł. Ale szumne zapowiedzi wskazują, że to nie koniec ulg dla najzamożniejszej części społeczeństwa.

Nie wystarczy zwalniać nieudaczników i szalbierzy. Trzeba jeszcze na ich miejsce znaleźć ludzi godnych zaufania i gotowych na służenie społeczeństwu, a nie tylko lobbystom, deweloperom, lichwiarzom itp.

Ostatni taki minister zorientował się, co to jest za rząd i z niego uciekł. To Krzysztof Kukucki, prawdziwy lewicowiec, który przygotował ambitny program budownictwa komunalnego, ale gdy zrozumiał, że nie ma szans na jego realizację, wrócił do rodzinnego Włocławka, by zostać jego prezydentem.

Ogłoszono sporą listę osób do odstrzału. Bardziej elegancko będzie, jak się sami podadzą do dymisji, ale honor wyszedł z mody i nie liczyłbym na to.

Próbuję sobie tylko wyobrazić, jak postąpiłby minister obrony jakiegoś demokratycznego kraju europejskiego, gdyby mu na miesiąc zginął cały wagon z minami. Miny znalazły się w końcu na zapleczu sklepu IKEI. Numer z minami przebija nawet historię z granatnikiem, którym pisowski komendant policji wycelował w sufit i trafił. Jeżdżący po całej Polsce wagon z minami przeciwpancernymi mógł wywołać o wiele tragiczniejszą w skutkach katastrofę. A Kosiniak-Kamysz nawet nie przeprosił.

PIOTR IKONOWICZ

Leszek Miller zasłynął ze swych licznych bon motów. Najpopularniejszy jest o prawdziwym mężczyźnie, którego poznajemy po tym, jak ów facet kończy.

Teraz przypominana jest też inna wypowiedź Millera: „Jest pan zerem, panie Ziobro”.

Padła wiosną 2003 r., kiedy premier Miller był przesłuchiwany przez sejmową komisję śledczą ds. afery Rywina. Wtedy zasiadający w komisji młody parlamentarnym stażem poseł PiS Zbigniew Ziobro zarzucił premierowi Millerowi zaniechanie wyjaśniania zabójstwa ówczesnego szefa policji generała Marka Papały.

Zarzut nie miał nic wspólnego z przedmiotem obrad komisji. Miał upokorzyć i splugawić premiera Millera, bo zamordowany komendant należał do grona jego przyjaciół. I choć pytanie Ziobry zostało formalnie uchylone przez przewodniczącego komisji, to Miller nad nerwami nie zapanował i skomentował zarzut Ziobry takim matematycznym porównaniem.

Trzeba też przypomnieć, że potem w czasie rządów PiS Ziobro przez wiele lat był ministrem sprawiedliwości. Nadzorował też prokuraturę. Miał wtedy wystarczający zasób władzy, aby wyjaśnić sprawę zabójstwa generała Papały. Nie uczynił tego.

Nic dziwnego, że 20 lat później Leszek Miller, komentując kolejne przykłady nielojalności i podłości ministra Ziobry, tym razem przeciwko „swemu” premierowi Morawieckiemu, żartował, iż popełnił błąd: *Wyraźnie wtedy przeszacowałem pana Ziobrę*.

Byt medialny

Kariera polityczna Zbigniewa Ziobry to przede wszystkim efekt jego sprytnych medialnych kreacji. W 1994 r. ukończył on prawo i administrację na Uniwersytecie Jagiellońskim. Odbył aplikację prokuratorską w Prokuraturze Okręgowej w Katowicach. W następnych latach katowicka prokuratura stanie się wylęgarnią przyszłych ziobrystowskich prokuratorów. Ale Ziobro, choć zdał egzamin prokuratorski, to nigdy nie podjął pracy jako zawodowy prokurator. W 1999 r. razem z dziennikarzem Witoldem Gadowskim założyli Stowarzyszenie „Katon” oraz Centrum Pomocy Ofiarom Przestępstw. Od tamtej pory Ziobro stał się prokuratorem medialnym.

W tamtych czasach w wymiarze sprawiedliwości i mediach dominowała doktryna, że kara za przestępstwo nie musi być przesadnie surowa. Ważne, aby była nieuchronną. Lansowali ją politycy i prawnicy związani z ówczesną Unią Wolności, wspierały liberalne media, przede wszystkim „Gazeta Wyborcza”.

Doktryna ta wzbudzała powszechną irytację opinii publicznej. Media wtedy rozpisywały się o wszechobecnych mafiach. Bezkarnych w społecznym odczuciu, bo organy ścigania i wymiar sprawiedliwości działały ślamazarnie. Kary, zwłaszcza te surowe, nie były postrzegane jako nieuchronne.

Zbigniew Ziobro w wolnych chwilach pisał z Gadowskim publikowane w prasie artykuły nawołujące do zaostrzenia kar i sprawnego sądzenia przestępców. Co zgodne było ze społecznymi nastrojami.

Żeby się podlizywać ludowi, trzeba go najpierw zrozumieć

Zdjąć Rafałową z traktora!

Nie wiem, jak Państwa, ale mnie strasznie śmieszy histeria obozu władzy i wiernego mu komentariatu wokół księdza z Ciechanowa, który zalecił Karolowi Nawrockiemu, żeby „prawy albo lewy prosty wymierzył” Antoniemu Dudkowi.

Czy naprawdę ktoś z nich sądzi, że jest to wezwanie do przemocy, a nie głupawy żarcik prowincjonalnego katabasa, który chciał się podlizać kandydatowi i sali, pokazując, że docenia twardzielstwo?

Czy też – w co bardziej jestem skłonna wierzyć – nikt spośród wzniecających gównoburzę nie traktuje tego poważnie, ale wszyscy liczą, że poważnie potraktują to wyborcy?

Natrętnie przypomina mi to historię z nagraniem Donalda Trumpa o łapaniu kobiet za cipy. Sztab Hilary Clinton dostał zbiorowego orgazmu absolutnie przekonany, że zwycięstwo ma w kieszeni – tymczasem notowania Donalda spadły o jakieś 2 proc. i to na krótko. W tym momencie oburzenie komentariatu rozszerzyło się z Trumpa na jego zwolenników. Jak można być kobietą i nie być oburzoną – pytali kolejni komentatorzy w CNN.

Trump rozproszył całą aferę w sposób – głupio powiedzieć – genialny w swojej prostocie: *It was locker room talk*. Ot, takie pogaduszki z męskiej szatni. To trafiło na najbardziej osobistym poziomie do każdego, kto chodził do amerykańskiego liceum: tak to właśnie jest, faceci w szatni po wuefie pierdolą o cipach, dziewczyny też nie tylko o Jane Austen, wielkie mecyje. To oczekiwanie na oburzenie zwiodło na manowce sztab Hillary Clinton – i, w moim najgłębszym przekonaniu, zwiedzie też sztab Rafała Trzaskowskiego.

Social media i związane z nimi skrócenie dystansu między osobami publicznymi a ludem spowodowały – na pewno są na ten temat jakieś poważne naukowe opracowania – że ludzie już nie oczekują, żeby politycy byli od nich lepsi; chcą, żeby byli tacy jak oni. Nawrocki doskonale odpowiada na to oczekiwanie – także wtedy, kiedy nie opieprza księdza za głupi tekst, bo jaki Polak-katolik opieprzy księdza?

Rafał Trzaskowski z ludem nie ma wiele wspólnego – i jego sztab zaczyna dostrzegać, że jest to problem. Tylko próbuje sobie z tym problemem radzić w sposób kompletnie nieudaczny. Opowieści kandydata, że jest z niego równy chłop, nie żaden tam paniczyk, bo mieszka w bloku i ma kilkunastoletni samochód, nie trafiają do przekonania obywatelom – którzy wiedzą mniej więcej, że stumetrowe mieszkanie w Warszawie nie jest przejawem ubóstwa, a prywatny samochód nie jest mu potrzebny, bo jako prezydent stolicy ma służbową limuzynę.

To jednak pół biedy;

gorszy jest ten dziwaczny zwrot w prawo zalatujący prostackim umizgiem do prostych ludzi – tak jak w PO ich sobie wyobrażają.

Odebranie 800+ niepracującym (czytaj: pasożytującym na Polakach) Ukraińcom; rezygnacja z obowiązkowej edukacji zdrowotnej; deklaracje o „zdrowym rozsądku” i „dwóch płciach”; filmik z Martyniukiem; wsadzenie żony na traktor… Jest w tym jakaś rozpaczliwa nieszczerość i brak szacunku dla obu stron sporu. I dla wyborców konserwatywnych, których kandydat PO najwyraźniej ma za idiotów, skoro sądzi, że dadzą się kupić takimi tanimi zagrywkami; i dla wyborców postępowych, których zdradza w sposób fundamentalny, bo uważa, że ma ich na własność.

Nawiasem mówiąc, zupełnie nie rozumiem, dlaczego sztab Trzaskowskiego wierzy, że prawdziwi Polacy na niego zagłosują, bo się pokazał z Zenkiem Martyniukiem – a jednocześnie oczekuje od tych samych Polaków, żeby się oburzyli jak dobrze wychowani ludzie, bo Nawrocki z księdzem sobie pożartowali o dawaniu w mordę. Nie widzicie w tym pewnej niekonsekwencji?

A skoro już jesteśmy przy niekonsekwencji: zafrapował mnie wywód z tekstu OKO.press: *Gdy pytamy, skąd ta zmiana u Trzaskowskiego, od osoby z otoczenia premiera Donalda Tuska słyszymy, że „trzeba obserwować realia” na świecie. Europa i Stany Zjednoczone skręcają w prawo. W siłę rośnie niemiecka radykalna AfD, w Austrii w wyborach parlamentarnych w 2024 roku wygrała nacjonalistyczna i prorosyjska FPO, a na Węgrzech wciąż rządzi Orbán*. I zaraz potem: *„Na stole jest albo kandydat, który jest prorosyjski i antyukraiński, czyli Nawrocki, który poparłby ustawę Kai Godek, albo kandydat, który chce liberalizacji aborcji, czyli Trzaskowski” – mówi nasz rozmówca*.

Co łączy AfD, FPO, Orbána i Trumpa? Między innymi właśnie to, że są właśnie „prorosyjscy i antyukraińscy” – jak w Polsce nazywa się postawę przeciw kontynuowaniu wojny i za realistycznym spojrzeniem na rzeczywistość. Wszystkie te formacje odwołują się do tych wyborców, którzy mówią: to nie jest nasza wojna, nie chcemy dłużej za nią płacić, chcemy taniej energii z Rosji zamiast drogiej broni z Ameryki. W Polsce nikt tego jeszcze nie mówi – można za to pójść do politycznego piekła – ale takie nastroje po cichutku narastają, co przejawia się m.in. w nieukrywanej już niechęci do Ukraińców. Obawiam się, że przypinanie Nawrockiemu (absurdalnej skądinąd) łatki „prorosyjskiego” naprawdę mu nie zaszkodzi.

Zróbcie prawdziwe badania, chłopaki, bo tak za daleko nie zajedziecie.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

35 lat na karku, więc zacznę od wspominek. Lata temu, gdy Partia Razem była jeszcze opcją pozaparlamentarną, współtworzyłem ten byt jako członek Akcji Socjalistycznej, a więc lewego skrzydła naszej zbieraniny. W 2019 r., po wyborczym wpierdzielu, Zandbergiści zaczęli układać się z tym, co potem połączyło się w Nową Lewicę (Wiosna Biedronia i śp. SLD). My zaś, socjaliści – przyzwyczajeni przecież do porażek – namawialiśmy partię do kolejnego samodzielnego startu. Zawsze warto próbować!

Przyznaję, nieco się minęliśmy z tzw. nastrojami, które dały trójczłonowej lewicy ponad 12 proc. w wyborach (dziś mogą o tym pomarzyć). Ale

gdyby wówczas nasze rady zostały wysłuchane i Partia Razem popełniła honorowe samobójstwo, Zandberg nie musiałby dziś prowadzić kampanii, co ponoć jest jego udręką. Jak każdy inteligentny człowiek jest bowiem leniwy. Coś się jednak przez te kilka lat zmieniło.

Przede wszystkim zmienił się rząd. Do którego weszła najpierw Nowa Lewica, a później ci z Razem, którzy domagali się *sprawczości*

eprasa.pl 71b84b908f

Wielu polityków chciałoby zobaczyć, jak Ziobro wreszcie skończy

GADMAN

Zero walczące

Rys. OBYWATEL JANEK

Zauważył go Marek Biernacki, ówczesny minister spraw wewnętrznych i administracji w rządzie Jerzego Buzka. Uczynił Ziobrę swym doradcą. Wprowadził na polityczne salony.

Potem Ziobro został sekretarzem zespołu ds. nowelizacji kodyfikacji prawa karnego w Ministerstwie Sprawiedliwości i szybko stał się jednym z najbliższych współpracowników ministra Lecha Kaczyńskiego. W roku 2005 programował wygraną przez Lecha Kaczyńskiego kampanię prezydencką. Skutecznie wykreował w mediach ciapowatego Kaczyńskiego na dzielnego szeryfa, który uwolni polskie miasteczka od wszelkiego bezprawia.

Wcześniej, w 2001 r., Ziobro zdobył mandat poselski z listy nowo powstałej partii Prawo i Sprawiedliwość. Zasiadł w komisji śledczej zajmującej się tzw. aferą Rywina.

Był autorem raportu obciążającego odpowiedzialnością za nieprawidłowości związane z pracami nad ustawą medialną polityków SLD zaliczonych do grupy trzymającej władzę. Sejm przyjął ten raport jako ostateczny raport komisji śledczej. W efekcie medialnej krytyki popularność SLD spadła.

Dziś niewiele osób pamięta, że żadnemu z tych polityków, nawet po utracie władzy przez SLD, w czasie rządów PiS, nie zostały postawione prokuratorskie zarzuty. W 2008 r. prokurator z nadania PiS umorzył postępowanie w tej sprawie.

Zapewne wtedy poseł Ziobro nauczył się robienia polityki po polsku, czyli przede wszystkim w mediach. Zobaczył, że można pozyskać rzesze wyborców populistycznymi hasłami bezwzględnej walki z przestępczością. Obietnicami surowych kar, sprawnej prokuratury i szybkich procedur sądowych. A potem tych obietnic nie realizować.

Ponad prawem

Po wyborach parlamentarnych 2007 Ziobro został wiceprezesem Prawa i Sprawiedliwości. Dwa lata później posłem Parlamentu Europejskiego. W 2011 r., po nieudanej próbie przejęcia władzy w PiS, dokonał tam rozłamu. Wraz z kilkunastoma parlamentarzystami z PiS utworzyli klub Solidarna Polska, który zapoczątkował formację zwaną ziobrystami. Ale długo w opozycji nie wytrzymali. Przed wyborami parlamentarnymi w 2015 r. Ziobro cynicznie złożył hołd prezesowi Kaczyńskiemu. W zamian on i jego ekipa zostali wpisani na listy wyborcze PiS.

Choć startowali zwykle z ostatnich miejsc, to zostali wybrani i szybko stworzyli w PiS własną partię wewnętrzną. Poczuli się też bezkarni, bo bez ich głosów PiS nie miałby rządzącej większości.

Po połączeniu urzędu ministra sprawiedliwości oraz prokuratora generalnego Zbigniew Ziobro ponownie został tym i tym. Przy okazji zagwarantował bezkarność swojej drużynie. Przeciwników politycznych szachował swą rzekomą „hakarnią". Zaangażował się w kreowanie zmian w sądownictwie, które zapoczątkowały trwający do dziś kryzys sądownictwa. Ale w prawicowych mediach zachował wizerunek szeryfa walczącego z wrażą kastą sędziowską.

Wcześniej, w listopadzie 2012 r., grupa posłów Platformy Obywatelskiej złożyła wniosek o pociągnięcie Zbigniewa Ziobry do odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu. Po pozytywnej opinii sejmowej komisji doszło do głosowania. Pomimo posiadania przez PO większości w sejmie, wniosek upadł. Zabrakło pięciu głosów, wśród nich posła Marka Biernackiego z PO. Tego, który pierwszy odkrył medialne talenty młodego Ziobry.

Zero skasować

Ziobro nieraz przypominał tamto głosowanie i szydził z nieskutecznie walczących z nim miękiszonów. Pewnie dlatego rządząca dziś większość z KO za honor postawiła sobie ukaranie, a zwłaszcza medialne sponiewieranie szydzącego z nich Ziobry.

Ten znowu uciekł w rzeczywistość medialną. Najpierw ogłosił, że walczy z rakiem, co potwierdzał fotkami wrzucanymi do mediów. Kiedy jednak rządząca koalicja zaczęła poważnie systematycznie rozliczać złodziejstwo jego współpracowników, Ziobro szybko ozdrowiał. Przynajmniej politycznie.

Znów postanowił wykorzystać sejmową komisję śledczą do wzmocnienia swej popularności. Tym razem nie jako jej poseł śledczy, tylko ofiara koalicyjnych siepaczy. Mistrz praworządności, surowy jurysta nieuznający legalności wadliwie prawnie powołanej komisji.

Najpierw bojkotował jej wezwania na przesłuchania. Potem tak jechał na jej posiedzenie, aby nie zdążyć na czas. Wszystko notowały przyjazne mu media. Teraz przygotowuje się na debaty związane z wnioskiem komisji o nałożenie na niego tymczasowego aresztu.

Media już się podzieliły. Prorządowe wspierają decyzję komisji, bo nikt nie może być ponad prawem. Opozycyjne już grzmią o męczeństwie jej lidera.

Zapewne sąd Ziobry nie posadzi od razu w areszcie, tylko jego pozostanie na wolności uwarunkuje udziałem w posiedzeniach komisji.

Dla Ziobry każda decyzja komisji i sądu jest korzystna. Poseł Ziobro nie walczy przecież o przestrzeganie prawa, o sprawiedliwość, o dobro swego imienia. On znów wystartował do boju o przywództwo na prawicy.

Jej młodsi (od prezesa Kaczyńskiego) liderzy poważnie liczą się z przegraną kandydata prezesa na prezydenta. Gotują się już na jesienne przemeblowanie polskiej prawicy. Wymianę pokoleniową elit. Nowe sojusze, koalicje, rozdania.

A Zbigniew Ziobro liczy, że znów wypłynie dzięki pracy komisji śledczej.

PIOTR GADZINOWSKI

Wyznania zdesperowanego wyborcy

Na Zandberga, bo na kogo

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

albo – jak zwał, tak zwał – fruktów lub przynajmniej nadziei na ich osiągnięcie. To tak zwani biejatowcy, których liderka ładnie się uśmiecha. I pewnie dlatego osiąga sukcesy w elektoracie wielkomiejskim, czyli wyłącznie w Warszawie.

Zandberg więc został w dupie, cokolwiek histerycznie niczym jakaś Unia Wolności ogłosił, że od teraz jego mała partia posiadająca ledwie koło parlamentarne i poparcie w okolicy błędu statystycznego będzie strategiczną rezerwą polskiej demokracji. Jak tłumaczyła wówczas Marcelina Zawisza: *Jeżeli jedyną opozycją do tego rządu będzie PiS i Konfederacja, a ten rząd będzie szedł coraz bardziej w stronę faszystowskiej retoryki w sprawie uchodźców, będzie udawał, że nie ma potrzeby dofinansowywać ochrony zdrowia, która na naszych oczach się wali, będzie głodził budżetówkę to przepraszam, ale za trzy lata będzie rząd PiS i Konfederacji.*

Wchodzenie do tego rządu to byłby potężny błąd, legitymizowanie go i głosowanie za tym budżetem tak samo – dodała, nie wspominając, że sama za powołaniem tego rządu głosowała. Ale mniejsza z tym. Fikołki razemitów mogą ostatecznie wydawać się zabawne. Ich głównym celem jednak nie jest rozśmieszanie publiczności, lecz budowa silnej (na tyle na ile to możliwe) i niezależnej od liberałów formacji politycznej. Warto to docenić w kraju, w którym lewicowość to głosowanie na Trzaskowskiego.

Szczęście w nieszczęściu: parlamentarna lewica jest dziś politycznie tak słaba, że jej rozpaczliwe ruchy taktyczne nie mają dużego znaczenia. Czy w rządzie, czy poza nim, jej dorobek – czyli to, co realnie przekłada się na projekty ustaw, a potem życie ludzi – jest raczej mikry. Poparcie takoż. Przed zbliżającymi się wyborami prezydenckimi lewicowi wyborcy nie muszą się kłopotać, któż będzie drugim Kwaśniewskim. Biorą bowiem udział w castingu na to, jaka lewica może być w przyszłości. Przynajmniej głosując w pierwszej turze. I co by nie mówić, choć po lewej stronie obrodziło kandydatami, to dziś najlepszą, czyli najbardziej widoczną, kampanię prowadzi Zandberg. A program ma klasycznie socjaldemokratyczny – w obronie hutnictwa wystąpi, opowie się za większym opodatkowaniem bogaczy i korporacji, zaapeluje o budowę fabryk leków itd. Można się poczuć jak w normalnym, stabilnym kraju. Ale w takim nie żyjemy. A skoro nie mamy ludowej, silnej i zakorzenionej społecznie lewicy, zagłosuję na socdemka z brodą. To, czy zacznie taką lewicę budować, czy też po prostu drożej sprzeda się Czarzastemu za dwa lata – jeszcze zobaczymy.

DAMIAN DUSZCZENKO

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Poniedziałkowe późne popołudnie, TVN24, „Tak jest". Gośćmi red. Rafała Wojdy są posłowie Dorota Arciszewska-Mielewczyk (PiS) i Paweł Śliz (Polska 2050). Temat rozmowy: prawo a polityka.

Arciszewska-Mielewczyk od początku programu zwraca na siebie uwagę. Słowa toczy. Nieustannie przeszkadza. Nie odpowiada na pytania. Niewiele rozumie, ale za to wiele gada nie na temat: trochę o arytmetyce (ile jest dwa i pół plus dwa i pół), trochę o muzyce (gama C-dur), trochę o googlowaniu (w celu szukania rządowych opinii i dekretów). Niewykluczone urojenia i omamy. Ale żeby na pewno powiedzieć, że posłanka przechodzi na antenie epizod niedyspozycji umysłowej, należałoby po programie zrobić badania płatu czołowego mózgu, istoty szarej i hipokampu: obrazowanie PET, tomograf, rezonans magnetyczny. Zmierzyć poziom dopaminy i kwasu glutaminowego. Sporządzić szczegółowy wywiad i dopiero potem zapisać leki, które pozwolą pani poseł poprawić komfort jej życia w społeczeństwie.

eprasa.pl 71b84b908f

Niezdradzeni o świcie

ETYKA BEZBOŻNA

Wierzę w sprawiedliwość w Hajnówce

Rozpoczęty niedawno proces piątki aktywistów pomagających uchodźcom na granicy polsko-białoruskiej jest ponurą pamiątką po reżimie PiS i prokuraturze Ziobry. Miejmy nadzieję, że absurdalne i w gruncie rzeczy bezwstydne oskarżenie doczeka się stosownej reprymendy ze strony sędziów. Jednakże sam fakt, że w ogóle można kogoś oskarżyć o to, że karmi głodującego i okrywa zziębniętego, wymaga zastanowienia. To nie jest wcale tak łatwo zrozumieć – tym bardziej że sumienie normalnego człowieka od razu się w tym przypadku gwałtownie buntuje, niespecjalnie nastrajając go do głębszych rozważań.

Oczywiście w tle oskarżenia wymierzonego w aktywistów – co do których reżim PiS mógł mieć niezachwianą pewność, że są jego wrogami – jest pewna idea moralna. Nawet najbardziej przewrotne i okrutne oskarżenie musi się – przy całym swym cynizmie – opierać na odwołaniu do jakiejś wartości i jakiegoś przepisu, który tę wartość chroni. Cynizm karmi się bowiem wartościami. Musi obrać sobie którąś z nich i uczynić z niej ofiarę szyderczego nadużycia. W tym wypadku chodzi o ideę lojalności wobec państwa, któremu obywatel ma obowiązek pomagać w ściganiu przestępców. A jeśli nie pomagać, to przynajmniej nie przeszkadzać. Za ukrywanie zbiegów i przestępców w każdym państwie grożą surowe kary. Ukrywanie jest przecież pewnego rodzaju wspólnictwem. W dodatku jest zamachem na praworządność, bo utrudnia sprawiedliwe ukaranie złoczyńcy. W zasadzie tylko najbliższej rodzinie wolno bezkarnie pomagać przestępcom. Prawo krwi i więź rodzinną system prawa stawia wyżej niż obywatelski obowiązek lojalności wobec państwa w jego roli pogromcy przestępców.

Skrajnym przypadkiem społecznej mobilizacji przeciwko przestępcom była słynna amerykańska (ale znana od niepamiętnych czasów) koncepcja wyjęcia spod prawa. Poza prawem można się było znaleźć po ukaraniu banicją (wypędzeniem) albo przed ukaraniem. Ścigany i żądany przez władze żywy bądź martwy (za nagrodą) arcyzbrodniarz był jak zwierzyna łowna. Każdy mógł, a nawet powinien go dorwać. Zupełnie odwrotnie niż w przypadku zwykłych przestępców, kiedy to władze bardzo surowo zastrzegają sobie monopol na pościg i karanie, od zwykłych obywateli oczekując jedynie udzielania informacji.

Wyjęcie spod prawa nie mogło się oczywiście utrzymać w cywilizowanym państwie prawa, bo takie państwo najpierw osądza przestępców, a dopiero potem ewentualnie ich zabija (jeśli w ogóle karę śmierci można uznać za karę cywilizowaną); co więcej, z zasady nie rezygnuje z władzy nad nikim. Zresztą czyż bandzior schwytany dla nagrody i oddany w ręce szeryfa nie szedł następnie pod sąd? Jak najbardziej. A to oznacza, że wyjęty spod prawa jednak pod władzę prawa powracał.

Te rozważania służą pokazaniu, jak archaiczne mogą być korzenie prokuratorsko-pisowskiego myślenia. Gdzieś tam, w czeluściach ich nieuczonych umysłów, kołacze się znany im z westernów wyjęty spod prawa. I ten uchodźca, którego Ruscy dowieźli nam na granicę, to w ich niezbyt rozgarniętym pojęciu taki wróg publiczny, totalny nielegał, który od momentu nielegalnego przekroczenia polskiej granicy jest pozbawionym praw intruzem. Nie odnosi się przeto do niego żadne prawo miłosierdzia ani tym bardziej prawo gościnności.

Rodzi się jednakże pytanie, co właściwie mamy robić z kimś, kto potrzebuje naszej pomocy, a jednocześnie ewidentnie popadł w konflikt z prawem. Sąd w Hajnówce mierzy się właśnie z oskarżeniem o nielegalne ułatwianie pobytu, wbrew przepisom. W pojęciu skarżącej władzy aktywista, który napotkał w lesie umęczonego i chorego człowieka, powinien go zadenuncjować wojsku lub policji, a potem ewentualnie nakarmić i ogrzać. Powinien więc uczynić mniej więcej to samo co żołnierz. Bycie aktywistą, który nie chce jedną ręką karmić, a drugą dzwonić po strażników, uważane jest przez prostodusznych prokuratorów za fundamentalną nielojalność wobec państwa i bojkotowanie przepisów.

Otóż tym między innymi różni się państwo prawa od państwa totalitarnego, że w państwie prawa od nikogo nie żąda się, aby był donosicielem. Istnieje obowiązek informowania o przestępstwie, ale dotyczy on poważnych przestępstw, w których ktoś jest w sposób oczywisty pokrzywdzony. Nie musimy zgłaszać, że sąsiadowi ukradli samochód. Jeśli sąsiad o tym wie, sam powinien zawiadomić policję. Ale jeśli napotkamy na uboczu domek z wyraźnymi śladami włamania, to powinniśmy zawiadomić władze. Być może w środku jest bowiem coś gorszego niż bałagan.

Z całą pewnością nie mamy zaś obowiązku denuncjować kogoś, kto akurat nielegalnie przebywa w naszym kraju. Po pierwsze to nie nasza sprawa. Po drugie – i ważniejsze w kontekście procesu w Hajnówce – istnieje w ludzkiej moralności coś równie pierwotnego, ale znacznie piękniejszego niż ostracyzm wobec „wyjętych spod prawa"; a mianowicie współczucie i solidarność z potrzebującym pomocy. Takiej

osoby, która nam uwierzyła i przyjęła od nas pomoc, nie chcemy zdradzać – nawet w imię obywatelskich obowiązków. Mamy do tego prawo. To prawo nazywa się prawem serca lub prawem sumienia. I, o dziwo, systemy prawne cywilizowanych krajów prawo serca respektują.

Działacze z granicy nie zdradzili uchodźców o świcie. I nie poniosą za to kary. A prokuratorzy odbiorą lekcję prawa, której sobie widocznie nie przyswoili w trakcie studiów.

JAN HARTMAN

Rys. WIDGET

W prokuraturze po staremu

Hajnowski proces to test na człowieczeństwo dla Adama Bodnara

Piątka aktywistów została oskarżona przez prokuraturę o pomoc migrantom na pograniczu polsko-białoruskim. To prawdziwy test dla byłego ombudsmana, a dziś ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego w rządzie coraz bardziej wchodzącego w pisowskie buty premiera Donalda Tuska.

Proces piątki ruszył 28 stycznia przed sądem rejonowym w Hajnówce w świetle licznych kamer, fleszy i mikrofonów, przy dźwiękach bębnów i okrzyków, jakie generowała kilkusetosobowa spontaniczna demonstracja na zewnątrz budynku zwołana w celu dodania otuchy oskarżonym.

Ta obywatelska i medialna ruchawka wokół aktywistów zdenerwowała bardzo Prokuraturę Okręgową w Białymstoku, która kilka dni potem, na swojej stronie internetowej wydaliła komunikat podpisany przez samą wiceszefową tej instytucji, prokuratorkę Joannę Dąbrowską. To znamienny przykład okopania się na swojej pozycji, utwardzenia stanowiska i olania mediów.

Zaakcentować należy, iż nieprawdą jest, aby aktywiści oskarżeni zostali o niesienie humanitarnej pomocy. Ich działania zdaniem Prokuratury wyczerpały znamiona przestępstwa, prowadzone były w konspiracji, przy świadomości działania w ramach większej struktury organizującej nielegalną migrację, w celu osiągnięcia korzyści osobistej przez samych nielegalnych migrantów. Chociaż jedna z osób oskarżona została o działania polegające na dostarczeniu nielegalnym imigrantom pożywienia, ubrań i schronienia, to jednak czynione one były przy okazji świadomego i celowego tworzenia warunków do nielegalnego pobytu na terytorium Polski. Należy podkreślić, iż tożsame zachowania wpisują się w dotychczasową linię orzeczniczą polskich Sądów, uznających je za sprzeczne z prawem. Wskazać również należy, iż opinii publicznej umknął fakt, iż zarzut przedstawiony czterem spośród oskarżonych koncentruje się wokół dostarczania środka transportu cudzoziemcom, którzy nielegalnie przekroczyli granicę, celem przewiezienia ich w głąb kraju, a nie jak sugerują oskarżeni, wokół pomocy humanitarnej. Nieprawdą są również informacje zawarte w przekazach medialnych, jakoby oskarżeni przewozili cudzoziemców celem dowiezienia ich do najbliższej Placówki Straży Granicznej. Zgromadzony materiał dowodowy przeczy tej tezie – upiera się przy swoim Dąbrowska.

Na koniec wywodu rzuca liczbą, która ludzi o dobrych sercach pakuje do jednego wora z kryminalistami: *Podkreślenia również wymaga fakt, iż*

Ewa Moroz-Keczyńska, jedna z oskarżonych, przed sądem:

Zawsze starałam się żyć przyzwoicie i zgodnie z prawem. Teraz stoję przed sądem oskarżona o to, że pomagałam drugiemu człowiekowi.

Ja sama jestem zwykłym człowiekiem. Urodziłam się w Hajnówce. Z tych stron wyrastam, czuję z nimi silny związek. (…) Nasi przodkowie też byli uchodźcami. Moi pradziadowie byli jednymi z dwóch milionów osób, które w 1915 roku uciekły w głąb Rosji gnani strachem przed armią niemiecką. Tak zwane *bieżeństwo* było tragicznym exodusem, którego co trzeci nie przeżył. Ci, którzy przetrwali, mieli szczęście, które nie było abstrakcją. Stali za nim konkretni ludzie, którzy ich karmili, poili, zapraszali na noc, oferowali im pracę. (…) Niosę w sobie tę świadomość jako rodzaj zobowiązania. To jest moja historia, mojej rodziny. (…)

Nie ma znaczenia, czy wyznajemy tę samą religię, czy mówimy tym samym językiem, czy mamy włosy rude, a może ciemną skórę. Na koniec jesteśmy tylko ludźmi. Jeśli jesteś obojętny wobec czyjejś krzywdy, stajesz się za nią w jakimś sensie współodpowiedzialny. Tak mnie wychowano, tak właśnie czuję i tego też uczyłam swoje dzieci.

Jesienią 2021 roku w Puszczy Białowieskiej my, mieszkańcy, zaczęliśmy spotykać uchodźców z Syrii, Jemenu, Iranu, Iraku, z krajów Afryki. Szliśmy do lasu, który kochamy i spotykaliśmy ludzi, którzy wielokrotnie nie mogli sami utrzymać się na nogach. Było to zderzenie światów na wielu poziomach. Miejsce, które dla nas było synonimem harmonii i spokoju, dla kogoś stało się miejscem, w którym powoli dogorywał w ukryciu. A my tuż obok tego lasu mieliśmy swoje bezpieczne, ciepłe domy.

Trudno mi oddać słowami, co przeżywaliśmy. Bardzo trudno jest normalnie żyć, gdy wiesz, że nieopodal twojego domu umiera człowiek. Do tego nasz przygraniczny fragment kraju odizolowano w strefie, do której nie mieli dostępu ani przedstawiciele mediów, organizacji pozarządowych, ani lekarze, ani nawet część polityków – czyli ci, którzy mogliby wesprzeć mieszkańców moralnie albo praktycznie. Na granicę nie wysłano profesjonalnej pomocy humanitarnej, tylko tysiące żołnierzy. Ale na co dzień, w trudnej sytuacji, nie żyje się lepiej, kiedy na ulicach, w sklepach widzi się mundurowych z bronią, kiedy jest się każdego dnia zatrzymywanym do kontroli auta – w drodze z pracy, do pracy, do przedszkola, ze szkoły, kiedy małe dzieci pytają cię, do kogo ci panowie będą strzelać. Nas, mieszkańców, nikt nie wsparł w sposób inny niż militarny. (…)

Dla nas, lokalnych mieszkańców, kryzys humanitarny nie był tylko obrazkiem z jakiejś odległej krainy. Widzieliśmy to, czego nie widziały i nie pokazały media, bo ich tam nie było. Jako zwykli mieszkańcy Podlasia nie byliśmy gotowi na taką traumę. Nikt o tym głośno nie mówił, nie uważał się za bohatera, raczej przeklinał konieczność, która do tej sytuacji doprowadziła.

Cel pomocy można nazwać górnolotnie uratowaniem komuś życia. W praktyce chodziło o coś bardzo zwyczajnego: termos z zupą, butelkę czystej wody, bochenek chleba i konserwę, suche skarpety czy bluzę… Trywialność tego gestu powodowała, że ani ja, ani wielu innych pomagających mieszkańców nie pomyślałoby nawet, że możemy być za to ukaranym.

Pomoc humanitarna, której udzielaliśmy, z założenia jest zamierzona, by ratować ludzkie życie. Uznaję je za wartość bezwzględną, niezależnie od tego, kim jest człowiek w potrzebie. W tamtym czasie trudno by mi było uwierzyć, że poszanowanie praw człowieka może być postrzegane jako łamanie prawa, bo jeśli uratowanie komuś życia jest przestępstwem, jak nazwalibyśmy czyn, którym bezpośrednio przyczyniamy się do czyjejś śmierci?

Tymi samymi wartościami kierowały się i kierują wszystkie znane mi osoby, które pomagały i pomagają. Również te osoby, które tu przed wysokim sądem zabierały głos. (…)

Teraz, kiedy stoję tu przed wysokim sądem, chcę podkreślić, że moim staraniem było i jest żyć tak, żebym nie musiała się wstydzić tego, że jestem człowiekiem.

eprasa.pl 71b84b908f

Prokuratura Rejonowa w Hajnówce w okresie od kwietnia 2021 r. do grudnia 2024 r. skierowała do sądu skutecznie 487 aktów oskarżenia (liczba osób skazanych) za tożsame zachowania, polegające na dostarczeniu środka transportu cudzoziemcom, którzy nielegalnie przekroczyli granicę, celem przewiezienia ich w głąb kraju. We wskazanej liczbie osób skazanych są również obywatele Polski. Prokuratura nie może stosować podwójnych standardów do oceny tych samych zachowań, podejmowanych w podobnych warunkach i wobec osób – nielegalnych migrantów znajdujących się w takiej samej sytuacji…

Ale według naszych rozmówców z okolic pałacu sprawiedliwości zastępczyni prokuratora okręgowego w Białymstoku mija się z prawdą i robi to intencjonalnie, bo świetnie wie, że media opisujące sprawę piątki nie są w stanie tego porządnie zweryfikować. Bo nie mają dostępu do sekretnej wiedzy. A do tego na wniosek prokuratury sąd częściowo utajnił ten proces. Nie służy zatem pomocą.

– Takich osób jak ci aktywiści do dziś nie oskarżaliśmy – twierdzi jeden z naszych rozmówców. – Pozostali oskarżeni z liczby wymienionej przez białostocką prokuraturę współpracowali z przemytnikami, dostawali za to pieniądze.

Kontaktowali się z przemytnikami za pośrednictwem telefonów komórkowych. Mieli lokalizacje miejsc pobytu migrantów, a migranci – zdjęcia aut. To był inny mechanizm działania.

Piątka, jak stanowczo twierdzi nasz rozmówca, z pozostałymi 487 skazanymi nie ma nic, ale to nic wspólnego.

– Oni sami jeździli po lesie i szukali tych migrantów. Jak ich znajdowali, to im pomagali. I robili to tylko i wyłącznie za własne pieniądze.

Według drugiego naszego interlokutora ciekawa w tej sprawie jest postać oskarżycielki z prokuratury rejonowej w Hajnówce. Magdalena Rutyna jest ledwie asesorką, więc prokuratorką nie jest, ale bardzo chce nią zostać. I sprawa piątki ma jej w tym bardzo pomóc.

– Na biurko Dariusza Korneluka, prokuratora krajowego, trafił właśnie wniosek o powołanie jej na stanowisko prokuratora. Co ciekawe, ma się to odbyć bez przeprowadzenia zwyczajowego w takich sytuacjach konkursu – opowiada drugi nasz rozmówca i dodaje od razu, że nie wiąże się to ze złamaniem prawa. – Adam Bodnar jako prokurator generalny ma prawo tak zrobić, jest na to odpowiedni artykuł w ustawie Prawo o prokuraturze. Wprowadzony przez PiS, a pozostawiony przez rząd Donalda Tuska, choć była wola usunięcia tej furtki w przepisach.

Asesor w strukturze prokuratury, kiedy sceduje się na niego tzw. votum prokuratorskie, może oskarżać wyłącznie przed sądem rejonowym, gdyż jego władza nie sięga dalej, czyli sądów okręgowych i apelacyjnych. I z tej prerogatywy korzysta Rutyna.

Kto jest promotorem jej awansu? Wróble ćwierkają, że to prokurator Marek Dąbrowski, szef hajnowskiej rejonówki, pomazaniec bodnarowców w Prokuraturze Regionalnej w Białymstoku.

1 lutego w TVP Info Adam Bodnar ogłosił nagle, że odbędzie się kontrola akt sprawy piątki. Analiza dokumentacji powinna się zakończyć przed kolejną rozprawą sądową w maju. Jeśli prokuratura nie cofnie po tej kontroli aktu oskarżenia, będzie to oznaczało, że władza liczy na to, że sąd skaże jednak aktywistów. I dosypie trochę punktów procentowych do kandydatury Rafała Trzaskowskiego w majowych wyborach prezydenckich, bo w tym kierunku dryfują nastroje społeczne. A to będzie oznaczało, że „PiS i PO – to samo zło”.

JAN MIKOŁAJ PAR

Sezon polowań na wykładowców

Profesor jak zwierzyna łowna

Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

Luty w Polsce to miesiąc polowań na odyńce, kuny, tryki muflona czy szopy pracze. Z dala od pól i lasów, w miastach i miasteczkach, gdzie istnieją szkoły wyższe, to czas wpisywania ocen semestralnych i egzaminów – czyli pierwszy w roku szczyt sezonu polowań akademickich. Jest to polowanie, w którym asystenci, adiunkci czy nawet profesorowie (uczelniani i belwederscy) bywają zwierzyną łowną.

To polowanie z nagonką, czasem na forach internetowych, niekiedy w mediach internetowych. Rolę sztucerów pełnią nie tylko donosy, ale – przede wszystkim – oceny studenckie. Jeśli studentom ktoś się nie spodoba, to może mieć duże kłopoty, a nawet stracić pracę i źródło utrzymania.

Pojawia się tu też ciekawy wątek międzynarodowy, dotyczący dużej i wciąż rosnącej liczby obcokrajowców, których studiowanie jest niekiedy fikcją. I nie, nie piszę wyłącznie o Wyższych Szkołach Tarcia Chrzanu w Koziej Wólce, lecz o państwowych, niekiedy prestiżowych uczelniach.

W tej chwili toczy się w Poznaniu ciekawy proces w sądzie pracy, który tysiące akademików obserwują z zapartym tchem. Powiem więcej: może mieć duży wpływ na jakość kształcenia na polskich uniwersytetach.

Wojna polsko-ukraińska?

Często jest tak, że na polskiej uczelni państwowej, kiedy siedzi się cicho i schodzi władzy i studentom z oczu, można opierdalać się aż do emerytury. A nawet być skurwysynem lub podłą suką. Wykładowcy są – na dobre i na złe – mniej więcej tacy jak nasze społeczeństwo (jak mawiał Marks, człowiek jest całokształtem stosunków społecznych), a zatem zdarzają się seksiści, homofobi, a nawet i rasiści czy antysemici. To prawda – ale nie cała prawda.

W grudniu 2023 r. dr hab. Jan Wawrzyniak, wykładowca filozofii i aksjolingwistyki, profesor na poznańskim UAM, po 43 latach na uczelni został zwolniony. Stało się to po otrzymaniu negatywnej oceny okresowej w aspekcie dydaktyki. A to z powodu krytycznych ocen studentów.

Co mu zarzucano?

Że nie realizuje programu zgodnie z programem. Że straszy brakiem zaliczenia. Że dyskredytuje studentów, nie przestrzegając – jak wyjaśniała rzeczniczka UAM Małgorzata Rybczyńska – uniwersyteckich standardów polityki antydyskryminacyjnej oraz równościowej. Prof. Wawrzyniak powiedział „Wyborczej”, że ocen negatywnych przez pięć lat dostał 68 – a miał w tym czasie zajęcia z 1952 osobami. Trzy razy studenci dziękowali mu za zajęcia, a raz nawet przynieśli mu kwiaty.

Kancelaria prawna, która reprezentuje wykładowcę przed sądem pracy, podkreśla bezprawność zwolnienia pracownika na podstawie ankiet, które są wszak nieweryfikowalne. Nie wiadomo choćby, czy wypełniający je nie byli akurat naćpani. Dodatkowo ankiety są niereprezentatywne.

Prof. Wawrzyniak twierdzi, że negatywne oceny są zemstą za niezaliczenie przedmiotu, a to zaś jest pokłosiem olewania zajęć. Wkurwiać go miało rozmawianie w trakcie zajęć przez telefon albo granie na nim. No i totalna olewka Ukraińców, którzy zapisują się na filologię rosyjsko-angielską, żeby – zdaniem byłego wykładowcy – *za darmo nauczyć się języka angielskiego, zanim na dobre wyjadą na Zachód*.

Jak było naprawdę, nie mam pojęcia – sama jestem niezwykle ciekawa wyroku w bezprecedensowej sprawie. Także wątku ukraińskiego. Przy czym pamiętam dokładnie (pozdrawiam kolegów i koleżanki z Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego z ul. Koszarowej we Wrocławiu) sprawę prof. UWr Bogusława Pazia, który komentując film, na którym separatyści znęcali się nad ukraińskimi jeńcami, napisał: *Banderowskie ścierwa dostają łomot aż miło! I jak tu nie kochać „Ruskich”?* Uczelnia go najpierw zawiesiła, zaraz potem odwiesiła. Dalej jest pracownikiem Instytutu Filozofii UWr.

Student – nasz pan

Studiowałam ćwierć wieku temu, pod koniec lat 90. i na początku obecnego stulecia. Aby dostać się na modną ówcześnie i bardzo obleganą politologię w dużym mieście, musiałam pokonać kilkoro kandydatów na jedno miejsce. Nie znam nikogo, kto pamięta te czasy – nie wspominając już o okresie wcześniejszym – i nie mówiłby, że dziś poziom studentów jest niższy, wszelkiego rodzaju obciążenia biurokratyczne pracowników naukowych niebotycznie wyższe, a niemało wykładowców panicznie boi się negatywnych ocen wystawianych przez studentów. I nie ma pojęcia, jak sobie radzić z obcokrajowcami, zwłaszcza studiującymi w języku polskim Ukraińcami. Na większości uczelni nie ma żadnej selekcji kandydatów na studia.

Jak sobie z tym radzą moi znajomi?

Dr X z małego uniwersytetu publicznego w Polsce południowo-zachodniej ma ostatnio problemy ze snem, bo u niego w instytucie wszyscy mają bardzo wysoką średnią ocen studentów: – Ja uczę rzeczy konkretnych, bardzo łatwo i rzeczowo weryfikowalnych. Wstyd mi, jak łatwe testy daję studentom, a i tak w pierwszym terminie około połowy nie zdaje. Robię poprawki: pierwszą, drugą, trzecią. Niedawno podszedł do mnie jakiś student z byłego Związku Radzieckiego i zaczął dosłownie wrzeszczeć na mnie, że on płaci, że za dużo wymagam, że to zgłosi komuś. Że jestem rasistą, bo on jest Azjatą i dlatego nie dostał zaliczenia. Zamurowało mnie, tym bardziej że z gościem nie sposób rozmawiać po angielsku, po niemiecku, o polskim nie wspominając. Najgorsze, że jestem pewien, że w razie czego rektor, czyli pracodawca, gestem Piłata umyje ręce i zostawi mnie na pastwę losu.

Prof. Y ze ściany wschodniej już się poddał: – Można dostać schizofrenii, a przynajmniej głębokiej depresji. Z jednej strony się ciśnie, są te wszystkie komisje doskonałości nauczania, udajemy, że lada chwila będziemy drugim Oksfordem, a nasi absolwenci podbiją świat. Z drugiej – od lat łatamy niż demograficzny studentami z Ukrainy, niekiedy mającymi mgliste pojęcie o języku polskim, w którym studiują. Nie sądzę, że oni są głupi, ale zwyczajnie często brak im kompetencji językowych na poziomie akademickim. Gwoli ścisłości: większości Polaków również ta bolączka dotyka.

Wedle Y powyższa sytuacja dramatycznie wpływa na poziom nauczania.

Bez Ukraińców nie będzie naborów, nie będzie godzin, będzie fala zwolnień. Kłopot w tym, że polscy studenci widzą, że studiowanie przybyszów ze Wschodu jest w dużej mierze fikcją, więc też uważają, że nie powinno się niczego od nich wymagać.

Na dodatek integracja między studentami praktycznie nie istnieje: jeśli mogą się dowolnie dobierać w grupy, praktycznie zawsze są one jednolite narodowościowo. Rodzi to napięcia.

Śladem lisa, muflona lub dzika

Kiedy dokładnie przejrzy się strategie przetrwania reprezentowane przez wykładowców i wykładowczynie – te drugie mają w naszym seksistowskim społeczeństwie nawet bardziej przejebane – wyłania się kilka podstawowych tropów.

Pomna nauk nieśmiertelnego niemieckiego socjologa Maksa Webera myślę, że w sensie modeli idealnych – czyli teoretycznie porządkujących zagmatwaną w praktyce rzeczywistość – można wyodrębnić trzy podstawowe typy strategii przetrwania, sięgając do metafor zwierzyny łownej.

Pierwsza, chyba najczęstsza, to strategia lisa. Lis, jak wiadomo, jest sprytny, bo nie jest jakoś szczególnie silny czy szybki. Lis – czy lisica – stara się zachować daleko idącą ostrożność, nie narażając się nikomu: ani przełożonym, ani kolegom, ani studentom. Najczęściej dużo się uśmiecha i wciąż chwali studentów, zachwycając się najdrobniejszymi przejawami przygotowania czy pomyślunku. Wie też, że lepiej nie zostawiać śladów po studenckiej – pożal się Boże! – twórczości, dlatego nie robi kartkówek, kolokwiów, egzaminów pisemnych. To cwane, bo w ten sposób unika obowiązku przechowywania wszystkich prac studenckich przez pięć lat.

Druga to strategia muflona. Przy czym piszę to na odpowiedzialność mojego lekarza, zapalonego myśliwego, wyjaśniającego, że tylko kurwa poluje na muflony – bo można strzelać do nich do woli; choć obok nich padają koledzy i koleżanki, te stoją jak wryte i ani się ruszą do ratującej życie ucieczki. Akademickie muflony są równie aktywne, stają się niczym plastelina w rękach innych. To one najczęściej stawiają prawie same piątki, bojąc się nie tylko jakichkolwiek konfliktów, ale nawet najdelikatniejszej krytyki.

Ostatnia, zdecydowanie najrzadsza, jest strategia dzika. Jak wiadomo z piosenki, którą śpiewałam mojej córce, gdy była mała – *dzik jest dziki, dzik jest zły, dzik ma bardzo ostre kły*. Kto spotyka w sali wykładowej takiego akademickiego dzika, ten na drzewo zaraz zmyka. Dzik bywa nieobliczalny i szalony, bywa pieniaczem, generalnie lepiej się trzymać od niego czy od niej z daleka.

A co ja na to? Robię, jak tysiące szaraczków na uczelniach w Polsce, swoją robotę. Studenci są, jacy są – chujowy system edukacji nie jest ich winą. I oni, i ja padamy wespół jego ofiarą. Ale jak widzę te niekumate dzieciaki, które przychodzą do nas z ogólniaków i techników, parę lat później, gdy się nieco wyrobili, mam świadomość, że nasza marnie opłacana praca czyni – przynajmniej czasem – prawdziwą pozytywną różnicę w ich życiu…

KAT

eprasa.pl 71b84b908f

Przekręt na Putina

Wydawało się, że filmu gorszego od „Smoleńska” nakręcić się nie da.

Rys. LESŁAW KUCZERSKI

Chciałem przywrócić widzom spokój. Boimy się tego, czego nie rozumiemy. A moja teza brzmi tak: Putin jest tchórzem. Silny mężczyzna nie musi komunikować swojej siły na zewnątrz, przy pomocy propagandy, wysyłać wici, że jest najsilniejszym dyktatorem wszech czasów. Chciałem widzom dać unikalne doświadczenie. Obnażyć Putina, pozwolić im podejść do tygrysa w klatce ekstremalnie blisko i pokazać, że ten tygrys się też boi.

Tak rzekł Patryk Vega, polski reżyser filmowy, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”.

Zwabiony wspomnianymi przez Vegę unikalnymi doświadczeniami i przywróconym spokojem udałem się do warszawskiego centrum handlowego, gdzie w kinie sieci Cinema City zdążyłem zobaczyć vegowego „Putina”.

Z kronikarskiego obowiązku muszę odnotować, że był to ostatni seans filmowy tego dzieła w tym kinie. Seans przedpołudniowy, przez dystrybutorów uważany za drugorzędny. Ulubiony za to przez wagarowiczów, onanistów i emerytów na zniżkowych biletach. Ale tym razem nawet ci nie dopisali. Dzięki temu nieliczni widzowie mogli poczuć się jak VIP-y na prywatnym pokazie filmowym. Pomimo takiego komfortu nie wszyscy dotrwali do końca seansu. Choć film trwał godzinę z ogonkiem.

– Zaraz się porzygam – wyjaśniła swe energiczne wyście niespokojna nastolatka, która zdecydowała się przerwać to unikalne doświadczenie.

Vega do Boga

Fabuła „Putina” wedle Vegi rozgrywa się w trójkącie Bóg – złe duchy – gówno. Zaczyna się wizją niedalekiej przyszłości. Wszechwładny kiedyś prezydent Rosji kończy w szpitalnym łóżku, odziany w zasrane pampersy. Z gówna powstałeś, w gówno się obracasz, można rzec głęboko religijnie. Jednocześnie te pampersy, niczym słodkie magdalenki u Prousta, są dla Vegi impulsem powrotu do przeszłości. Rozważań o istocie i wielkiej tajemnicy Putina. Aby ją poznać, Vega poświęcił pięć lat intensywnych interdyscyplinarnych studiów. O czym poinformował w ekskluzywnym wywiadzie słuchaczy radia TOK FM.

Uchylając rąbek po rąbku tej Tajemnicy, polski reżyser pokazuje, jak to z zastraszonego chłopca powstał krwawy dyktator. Mamy jego agresywnego ojczyma, złą matkę, otaczające go gangi dzieci i dorosłych. Ohydne, obżerające się kawiorem, zapijaczone kacapskie mordy rosyjskich elit. Padające na kolana przed bogiem i także deficytowym papierem toaletowym. A wszystko to przesycone jest wszechobecną wódą.

Cóż, można rzec, kolejny typowy wizerunek Rosjan kreowany przez standardowego polskiego liberalnego inteligenta kreującego się na znawcę ruskiej duszy.

Ale Vega wie, że to jednak za mało. To już nie chwyci. Pewnie dlatego przywołuje chrzest prezydenta Putina dokonany w Jerozolimie. I kreuje tezę, że ów chrzest się nie przyjął. Został, jak szczepionka, przez putinowski organizm odrzucony. Co gorsza pojawiły się skutki uboczne. Prezydent Putin to człowiek opętany przez demony. Jest sługą Złego. Imieniem Samiel. A drugie imię tego demona to Legion. I wszystkie dyrektywy tej piekielnej Dwójki opętany Putin wciela w życie. I to już wszystko wyjaśnia. *Jestem głęboko wierzący. I przekonany, że ktoś bez tego sakramentu nie ma ochrony w wymiarze duchowym* – zwierza się w cytowanym już wywiadzie reżyser Vega. I ujawnia, że w czasie skręcania filmu „Putin” przyjął dźwięczny pseudonim „Besaleel”. Po budowniczym Arki Przymierza.

Przez chwilę chciałem się nim posługiwać, ale zrezygnowałem. Mam poczucie, że odgrywam taką rolę, ale postanowiłem się tym nie afiszować. To jest coś, co powinno pozostać między mną a Bogiem – dodaje skromnie.

Klapa

Być może prawdziwy Bóg odwrócił się od rzeczywistego Putina. Na pewno od filmowego „Putina” odwrócił się box office. Bożek filmowców komercyjnych takich jak Patryk Vega.

Box office w biznesie filmowym określa liczbę widzów lub przychód ze sprzedaży biletów na dany film. Wielce ważne są notowania box office’u w czasie premierowego weekendu. Prognozują one przewidywane, przyszłe wpływy kasowe.

Patryk Vega uważany jest za polskiego króla box office’u. Jego filmy zwykle miały rekordowo wysokie zyski i widownię – choć często miały też kiepskie opinie u krytyków filmowych.

Tym razem weekend otwarcia przyniósł niecałe 40 tys. widzów. Potem nie było lepiej. W Warszawie, po kilku tygodniach, film przestaje być już wyświetlany.

W serwisie internetowym Filmweb tegoż „Putina” oceniło ponad dwa tysiące jego widzów. Średnia ocena to 2,6 w skali dziesięciopunktowej. Krytycy ocenili ten film na 2,3. Rzadko zdarzają się tak zgodne opinie komercyjnego filmu u widzów i krytyków.

To najpaskudniejszy film, jaki w życiu widziałam: w warstwie wizualnej i ideologicznej; *Patryk Vega przebił dno, jego „Putin” to okrutny żart* – to najdelikatniejsze opinie widzów. Krytycy filmowi wybrali inną taktykę. O „Putinie” piszą mało. Litościwie milczą.

Zagranica

Promując swego „Putina”, reżyser Vega chwalił się w mediach, że zebrał na niego prawie 14 mln dolarów. To wielki budżet jak na polską produkcję. Vega zapowiadał też wielką ofensywę „Putina” na światowe rynki filmowe. Reklamował projekcje w USA i Kanadzie, Niemczech, Austrii, Szwajcarii, Holandii, Belgii, Luksemburgu, Wielkiej Brytanii i Irlandii. Także w Danii, Szwecji i Norwegii, Czechach, Słowacji, Turcji. W Azji wysyłał swe dzieło do Korei Południowej, Japonii, Tajlandii, Indonezji, Filipin, Malezji, Brunei, Singapuru, Wietnamu, Kambodży, Laosu, Mjanmy, Tajwanu, Hongkongu i Makau. *„Putin” nie jest filmem dla Rosjan, tylko dla reszty świata* – zastrzegał.

Na razie amerykański serwis Box Office Mojo nie odnotował wyników filmu Vegi. Podobno w Stanach Zjednoczonych jakiś pokaz jednak się odbył.

Film Vegi doczekał się też pierwszej amerykańskiej recenzji. Laura Clifford z „Reeling Reviews” delikatnie sygnalizuje, że nie mamy do czynienia z filmowym dziełem, za to chwali Vegę za słuszną krytykę Putina. *Najbardziej łaskawą rzeczą, jaką można powiedzieć o filmie Vegi, jest to, że jest to bezwstydne potępienie człowieka, który spowodował tak wiele ludzkiego cierpienia* – sili się na delikatność i polityczną poprawność.

Na pewno w Wielkiej Brytanii odbył się już jeden pokaz filmu, na który poszło 15 osób. Zakładając, że średnia cena biletu to 8 funtów, to film zarobił już tam w sumie jakieś 123 funty.

Putin w pierwszej wersji miał 3,5 godziny. Chcemy zrobić z tego serial. Przygotowujemy różne wersje filmu, w zależności od rynku i kręgu kulturowego, w jakim będzie pokazywany. Co innego w tej historii interesuje Brazylijczyków, co innego Azjatów – ostrzega Vega.

Dodaje, że przygotowując Putina korzystał z armii specjalistów, z wiceszefem wywiadu NATO, z generałami prowadzącymi kampanie wojskowe w Azji, z Mosadem, ze specjalistami od arsenału nuklearnego.

Druga tajemnica „Putina”

Kierując się jedynie rozumem, naprawdę trudno pojąć, po co tak zdolny twórca jak Patryk Vega zrobił tak ze wszech miar nieudany, zły, zwyczajnie gówniany film. Gorszy nawet od „Smoleńska”.

Znajoma producentka filmowa przypomniała mi wypowiedź Vegi, że ewentualny sukces kasowy „Putina” *zdeterminuje jego życie*. Dodała, że w Polsce często więcej zarabia się na samej produkcji filmu niż na późniejszych wpływach z biletów. Jeśli ktoś naciągnąłby frajerskich inwestorów na – powiedzmy – 14 mln dolarów, to z tak dużego budżetu przy odrobinie kreatywności w księgowości można wyprowadzić spore pieniądze.

Taką operację łatwiej przeprowadzić, kiedy film ma zbożny, słuszny cel. Na przykład ma zohydzić podłego Putina. Wtedy media głównego nurtu nie będą rozliczać wydatków produkcji, czepiać się rachunków, bo wtedy stanęłyby razem z ruskimi onucami.

A poza tym cel uświęca środki.

Jest też inne możliwe wyjaśnienie zagadki vegowskiego „Putina”. Już w czasach Dzierżyńskiego kreatywni czekiści tworzyli przeróżne opozycyjne organizacje. Kontrolowali je, by potem je skompromitować. I przede wszystkim skompromitować idee walki z władzą radziecką.

Film Vegi o Putinie jest tak zły, że zamiast kompromitować Putina, bardziej kompromituje jego potępiaczy. Jest tak zły, że wzbudza nawet sympatię do tak prymitywnie krytykowanego Putina.

Być może to rosyjscy proputinowscy oligarchowie zrzucili się na budżet filmu Vegi. A potem ruscy czekiści potajemnie wszczepili mu czip ruskiej onucy.

Jednak Patryk Vega zadeklarował też w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”: *Megalomania jest wpisana w zawód reżysera. W moim przypadku pozwala porywać się na rzeczy, które wydają się absurdalne. To mój motor napędowy w dążeniu do celu, postrzegam ją jako coś pozytywnego.*

Czy zatem prezydent Putin jest jedynie ofiarą zwyczajnego megalomana?

PIOTR GADZINOWSKI

Cenzura bez cenzury

Demokracja socjalistyczna kontra europejska wolność

Artykuł Jana Hartmana pt. „Czy cenzura jest spoko?” („NIE”, 4/2025) zawiera sporo trafnych spostrzeżeń dotyczących cenzury i wolności słowa – jednak pewne fakty dotyczące PRL wymagają sprostowania. Chodzi tu o odbieranie zagranicznych rozgłośni radiowych.

W drugiej połowie czasów Polski Ludowej nie było permanentnego zagłuszania Wolnej Europy. Osobiście parokrotnie słuchałem jej audycji bez zakłóceń. Szczególnie utkwiły mi w pamięci dwie informacje z lat 60. Pierwsza, kiedy przewodniczący Mao płynął po rzece Jangcy. Wówczas Wolna Europa okrasiła tę informację piosenką z Kabaretu Starszych Panów „Wesołe jest życie staruszka”. I druga, kiedy ta sama rozgłośnia z okazji 22 lipca mówiła o tym, że jest to prawdziwe święto ludowe. Trudno obecnie dociec, czy była to świadoma decyzja wynikająca z odgórnej dyrektywy czy jakaś niedoróbka. Z kolei jeden z moich ówczesnych kolegów był na tyle inteligentny, że zamiast wysłuchiwać propagandówek Wolnej Europy wolał korzystać z wiadomości rozgłośni polskiej BBC.

W owych czasach dostęp do zachodnich źródeł informacji był co prawda ograniczony – ale jednak osiągalny. W niektórych kioskach, choćby na warszawskim Dworcu Centralnym, można było kupić francuskie „Le Figaro”; w kiosku przy ul. Mokotowskiej amerykański „The New York Times”. Za to teraz nie uświadczysz prasy rosyjskiej, białoruskiej czy nawet serbskiej. Zlikwidowano też czytelnie MPiK, gdzie można było za darmo poczytać sobie zagraniczne gazety.

Dostępne były też źródła nieprzychylne ówczesnym władzom – tylko należało wiedzieć, gdzie ich szukać. W bibliotece Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych można było czerpać wiadomości o Polsce, korzystając z angielskich roczników Keesinga. Nawet osoby czytające jedynie po polsku miały pewną możliwość zapoznania się treściami, które oficjalnie nie były publicznie dostępne. W tamtych czasach PAP wydawał „Biuletyn Specjalny” zawierający m. in. niepublikowane w prasie treści krytyczne wobec zaprzyjaźnionej Kuby.

Biuletyny były ściśle reglamentowane i miały trafiać do ograniczonego kręgu osób, lecz na to też był sposób. Wystarczyło wejść do czytelni partyjnej Wyższej Szkoły Nauk Społecznych, aby sobie móc poczytać BS-y. A wejść mógł każdy, co sam niejednokrotnie wypróbowałem. Przy wejściu nie obowiązywały przepustki, nie było też nagminnych obecnie ochroniarzy ani bramek wykrywających metalowe przedmioty, jak np. kluczyki do samochodu, którymi potencjalny terrorysta mógłby zaatakować państwowego urzędnika.

Ówczesne cenzorskie sito było zatem nieco dziurawe – nie tylko z wyżej wymienionych powodów. Cenzurę można było bowiem łatwo przechytrzyć. W późnych latach 80. w tygodniku „Odrodzenie” ukazał się artykuł krytyczny wobec władzy stanu wojennego. Jednak w tekście zamiast Wojciecha Jaruzelskiego figurował król Ludwik XIV, w związku z czym cenzura nie miała się do czego przyczepić. Nieprawomyślne treści można było przemycać nie tylko w prasie. Podczas jednych z krakowskich Juwenaliów chodził po ulicy student, który miał na koszulce napisane wielkim drukiem: *Nie lubię ruskich*, a pod nim drobnymi literami: *pierogów*. I czyż można było go ukarać za gusty kulinarne?

Obecnie żyjemy w czasach formalnie pozbawionych cenzury – czyli inaczej mówiąc niecenzuralnych. Nie oznacza to jednak, że każdy może sobie bezkarnie pisać, co zechce. Jeśli w PRL ktoś napisał tekst obsmarowujący jakiegoś notabla, to – nawet jeżeli naczelny go przeoczył – i tak zatrzymałaby go cenzura. I była to jedyna dolegliwość, na jaką mógł być narażony autor publikacji. Teraz jednak jest inaczej, demokratycznie. Obsmarowany prominent wytacza dziennikarzowi sprawę sądową o naruszenie dobrego imienia – mimo że aby coś zostało naruszone, to trzeba by to coś mieć. W przypadku przegranej dziennikarz zostaje zobowiązany do zapłacenia z reguły horrendalnej – jak na jego możliwości – kwoty na rzecz wskazanego przez wygraną stronę adresata. Tym samym ów publicysta zmuszony jest do finansowania różnych Caritasów czy fundacji, na które z własnej woli nie wydałby złamanego grosza. I taka jest wolna i demokratyczna Polska.

BKJ

eprasa.pl 71b84b908f

Rys. WIDGET

Prawica pod zachodnim trepem

Z miłości do Trumpa narodowcy zaczynają zjadać własny ogon.

25 stycznia w malowniczym miasteczku Halle w środkowych Niemczech odbył się wiec ultrakonserwatywnej prawicowej partii Alternative für Deutschland (AfD). Gwiazdą spotkania entuzjastów spuścizny wąsatego akwarelisty nie była jednak kandydatka na kanclerza Niemiec Alice Weidel, a pieścidełko Donalda Trumpa Elon Musk.

Multimiliarder za pośrednictwem telebimu połączył się z biodeustchami (współczesną wersją Aryjczyków) i wzorem rasowego coacha wyjaśnił im zwięźle kilka kwestii.

Naród niemiecki jest naprawdę starożytnym narodem, którego historia sięga tysięcy lat. Przeczytałem nawet, że Juliusz Cezar był pod wielkim wrażeniem plemion germańskich – ogłosił Elon, motywując zwolenników AfD do „walki" o przyszłość swojego kraju. *Dobrze jest być dumnym z niemieckiej kultury i wartości* – pouczył. *Dzieci nie powinny być winne grzechów swoich rodziców, nie mówiąc już o ich pradziadkach. Zbytnio skupiamy się na grzechach przeszłości i musimy wyjść poza to* – dodał.

Niestety, polska prawica z niemiecką obsesją nie miała okazji odnieść się do wyskoku Muska, bo w 80. rocznicę wyzwolenia Auschwitz minister edukacji narodowej Barbara Nowacka podczas konferencji z udziałem gości z całego świata grzmotnęła jak piorun w brzozę frazą o „polskich nazistach" budujących obozy, czym skupiła na sobie całą uwagę rodzimych nacjonalistów. Jednak nic straconego.

Danke za jebankę

Naturalnie z przejęzyczenia minister Nowackiej paliwo zrobili wyłącznie ci, którzy przy każdej okazji podkreślają, że jakby co, obozy już mamy, a kiedy trzeba, szafują lapsusem językowym jak uniwersalnym usprawiedliwieniem (wypowiedź wyrwana z kontekstu!).

I choć po konserwach z kraju nad Wisłą ciężko spodziewać się logiki, kabaretu dostarczają niezmiennie.

Prawicowy umysł jest przyzwyczajony do radzenia sobie ze sprzecznościami.

Nie wszyscy naziści byli źli – mówią ludzie z AfD; nie wszyscy ludzie z AfD mówią, że naziści nie byli źli – odczyta to polska prawica. Prawda, że proste? Najważniejsze, że Tusk miał dziadka w Wehrmachcie.

Fakt, że AfD o połowie Polski mówi w kategoriach wschodnich landów Niemiec, też można gładko wytłumaczyć. Europarlamentarzystka Nowej Nadziei Ewa Zajączkowska-Hernik w jednym z wywiadów powiedziała, że nie ma mowy o rewizji granic polsko-niemieckich, a nieporozumienia w tej sferze wynikają z niezrozumienia nomenklatury niemieckiej.

AfD łączą z Konfederacją przede wszystkim cele polityczne: chodzi o odejście z Zielonego Ładu czy wycofanie paktu migracyjnego – wypunktowała europosłanka, zgrabnie rzeźbiąc wypowiedź, jakby to kumplom zza Odry zależało na przyjaźni z polską cebulą. Może przez wzgląd na polskie nasienie wśród niemieckich nacjonalistów w europarlamencie pod postacią Tomasza Froelicha, co nadaje grozy grotesce i odwrotnie.

Froelich – prawnuk powstańca warszawskiego, a od zeszłego roku europoseł AfD – to też niezgorszy śmieszek. Na posiedzeniu europarlamentu przemawiał do Tuska najpierw po polsku, a później po niemiecku – bo przypomniał sobie i wszystkim zebranym, że ukryta opcja niemiecka lepiej zaskoczy w szwabskim dialekcie. Po co denuncjować niemieckiego agenta, który osłabia własną ojczyznę celem wzmocnienia pozycji samych Niemiec w Unii Europejskiej? To zapewne znowu kwestia wspomnianej nomenklatury i polskich kłopotów z opanowaniem jej niuansów.

Pieczeń po berlińsku

Wymierzone w Donka przemówienie Froelicha na portalu X zamieścili Daniel Obajtek i Bartosz Kownacki z PiS.

Modlimy się o zwycięstwo skrajnej prawicy w Niemczech – skomentował nacjonalistyczne lanie Dominik Tarczyński. To zabawne, bo pisowcy – znani z przeczesywania niemieckich mediów w poszukiwaniu jakiegokolwiek niepoprawnego politycznie względem Warszawy hasła – wsadzili nosy tam, gdzie nie zagląda sam diabeł, kiedy Froelichowi mało było glanowania polskiego premiera i postanowił poprawić manto w social mediach.

W reakcji na wywody Muska w Halle Tusk napisał na X, że słowa miliardera brzmią znajomo i złowieszczo. Odpowiedź Froelicha była krótka: *Nadal boli*?

Plemię pisowskie, które przed laty żądało dymisji szefa TVP za emisję niemieckiego serialu o II wojnie światowej „Nasze matki, nasi ojcowie", połknęło języki. Cieszono się za to w mediach braci Karnowskich, gdzie rozważano, że jeśli Musk zajmie się ekipą Tuska to ona nie istnieje.

Grunt polskich kompleksów o zachodnim dobrobycie okazał się wyjątkowo podatny. Polaków dowartościowuje to, że ktoś obcy chce tu przyjechać. Pozostaje liczyć, że otrzeźwienie przyjdzie, kiedy będzie jeszcze co zbierać – napisał kiedyś gorzko na Twitterze Krzysztof Bosak, ale się pozmieniało.

Na początku lutego wicemarszałek sejmu w swoich social mediach obwieścił światu, z radością równą chyba tylko tej z narodzin potomka, że Elon Musk skomentował wpis Małopolskiego Okręgu Ruchu Narodowego na X. Dla ciekawskich – napisał „cześć". Konfederacja z PiS-em jak na komendę z radością zamerdały ogonem przed namiestnikiem Pomarańczowego Pana.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Dwaj mocarze Wasyl S. i Swiatosław T. niczym średniowieczni rycerze uzbrojeni w młoty budowlane i gaz bojowy ruszyli na podbój kantoru wymiany walut Jasiu w Szczecinie. Paweł Pankau z Komendy Miejskiej Policji utrzymuje, że grozi im pięć lat więzienia. Mimo tak drastycznych środków kantor Jasiu nie ugiął się przed atakiem Wasyla i Swiatosława. Obronił wszystkie swoje majętności.

▮ *Nie będzie już tak, że jakiś pijany bydlak podnosi rękę na ratownika* – powiedział premier Donald Tusk, mając na myśli ratowników medycznych. Obiecał też, że już w lipcu członkowie zespołów ratownictwa medycznego otrzymają kamizelki nożoodporne oraz wsparcie psychologiczne.

▮ Warszawskie zoo pogrążyło się w żałobie. Odszedł Kuba, nosorożec, który przez lata walczył z zapaleniem będącym następstwem urazu nosorogu. Niestety, mimo wysiłków opiekunów stan zapalny rozprzestrzenił się na kości. Z bólem serca, ale kierując się dobrem Kuby, podjęto decyzję o jego uśpieniu. Opiekunowie wspominają go jako wspaniałego nosorożca, z którym mieli wyjątkową więź. Kuba, miłośnik muzyki klasycznej i błotnych kąpieli, na zawsze pozostanie w ich pamięci.

▮ O, rety! Pół wieku stuknęło Misiowi Uszatkowi! TVP, niczym troskliwa matka, postanowiła uczcić tę doniosłą rocznicę, fundując nam darmową dawkę misiowej mądrości na swojej platformie internetowej. Aż 104 odcinki! Znów poczujemy się jak dzieci, z zapartym tchem śledzące losy misia i jego kompanii. Czy aby tylko te morały na końcu każdego odcinka nie okażą się zbyt skomplikowane dla współczesnego widza?

▮ Krakowska policja niczym pies tropiący węszyła, węszyła i wywęszyła. W garażu na Bronowicach znaleźli ponad 76 kg marihuany, prawie 13 kg kokainy, blisko 21 kg mefedronu, ponad 5 kg metamfetaminy i na deser 106 g ecstasy. Razem 115 kg narkotyków wartych – bagatela – 9 mln zł. Dwóch trzydziestolatków, właścicieli narkotykowego eldorado, zamiast liczyć forsę, liczyć będą kraty. Rano bogaci i wolni, wieczorem spłukani i z perspektywą 20 lat za kratami. Fortuna kołem się toczy, gdy policja wścibia nos w nie swoje sprawy.

▮ Bociany wracają! Tanzańscy ornitolodzy donieśli polskim kolegom po fachu, że laskonogie są już w drodze. Przylecą rekordowo wcześnie. Pod koniec lutego pierwsze sztuki pojawią się na polskim niebie, a w marcu nastąpi prawdziwy bociani desant. Wiosna puka do drzwi, a dowodem na to są przebiśniegi, które zakwitły w ogrodzie autora tej rubryki cały miesiąc przed terminem. Natura wariuje, a bociany jak zawsze wiedzą swoje.

▮ Właściciele pięciu gdyńskich stacji benzynowych połączyli siły i próbują namierzyć kierowcę, który od dwóch miesięcy nałogowo tankuje i nie płaci. Zakapturzony mężczyzna przyjeżdża raz srebrnym Chevroletem Aveo, a innym razem – czarnym Oplem Signum. Za każdym razem ma

Rys. WIDGET

te same kradzione tablice rejestracyjne prowizorycznie przyczepione do zderzaka. Z reguły tankuje paliwo nie tylko do baku, ale także do plastikowych baniaków. Może nie złodziej, ale po prostu kleptoman?

▮ Norweska policja w Oslo złapała pięciu Polaków na gorącym uczynku. Oskarżenie? Szpiegostwo! Polacy mieli latać dronami wokół bazy wojskowej w Kolsas, gdzie mieści się norweska bezpieka, centrum cyberbezpieczeństwa, dowództwo garnizonu i jednostka NATO. Przy okazji dzięki norweskiej policji dowiedzieliśmy się, gdzie Norwegowie ukrywają swoje najtajniejsze sekrety. Polscy szpiedzy z dronami? To brzmi jak kiepski żart. My, Polacy, to co najwyżej z drabiną i młotkiem stolarskim potrafimy operować, a polityka nas nie interesuje. Zresztą, ambasada RP w Oslo też kręci nosem i nic nie potwierdza. Cała ta historia pachnie jakąś wywiadowczą zmyłą.

▮ Prokuratura w Łodzi zarzuca pracownikowi Sądu Okręgowego oszustwa na ponad 3,1 mln zł. 40-latek fałszował wyroki poprzez zamieszczanie w nich dodatkowych rozstrzygnięć co do zwrotu uczestnikom postępowań opłat sądowych. W sfabrykowanych dokumentach wpisywane były numery rachunków podejrzanego, a nie stron, które miały z sądu otrzymać zwrot pieniędzy. Proceder trwał blisko 10 lat. Sprawca wykorzystywał kilkadziesiąt założonych na swoje dane kont bankowych.

▮ Toruńscy uczeni, współcześni Kopernicy, zwrócili swe oblicze ku niebu, ale nie ku gwiazdom, a ku sztucznym iluminacjom. Opatentowali bowiem urządzenie do pomiaru smogu świetlnego, które – uwaga! – mierzy, ileż to światła w nocy nam z nieba kapie. Ten automatyczny, oszczędny i odporny na kaprysy aury aparat sam pilnuje swego stanu – doniesie, gdy bateria mu siądzie, gdy zawilgotnieje czy też gdy temperatura mu nie podpasuje. Bo jak wiadomo, zanieczyszczenie światłem to plaga naszych czasów, gorsza od szarańczy i dżumy. Samo urządzenie co prawda smogu nie rozgoni, ale policzy go skrupulatnie – w luksach, watach czy innych procentach. A nuż dzięki temu noc znów stanie się nocą, a nie przedłużeniem dnia, tyle że z lampami.

▮ Ach, Tatry! W 2024 r. odwiedziło je prawie pięć milionów turystów, dwa razy więcej niż dekadę temu. Górska idylla zmieniła się w górską latrynę. Tatry, mówiąc wprost, są zasrane. Dyrekcja Tatrzańskiego Parku Narodowego postanowiła zaradzić problemowi. Rozwiązaniem mają być specjalne sprowadzane ze Stanów Zjednoczonych woreczki na ekskrementy. Początkowo rozdawane za darmo, bo przecież trzeba lud nauczyć, jak z woreczkiem postępować. A potem, jak już się przyzwyczają, to i kasę trzeba będzie wyłożyć. Amerykański woreczek na polskie gówno – to symbol naszych czasów. Ciekawe tylko, co na to niedźwiedzie.

▮ Dzielni funkcjonariusze z Komendy Rejonowej Policji Warszawa VI pochwalili się bohatersko, że zostali ostrzelani podczas tajnej misji. W nieoznakowanym radiowozie, prowadząc poufne czynności operacyjne, tak się zakamuflowali, że aż ich ostrzelano. Szczęście w nieszczęściu, że pistolet był gazowy, a kule gumowe. To już skromnie przemilczeli. Bohaterstwo godne medalu. A kamuflaż? Następnym razem proponuję przebrać się za krzaki. Albo chociaż za latarnię.

▮ GUS donosi, że świń w Polsce jest jak na lekarstwo. 9 mln sztuk to podobno historyczny dół, gorzej było chyba tylko za Chrobrego, kiedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że schabowy to nasze narodowe danie. Ale spokojnie, jest światełko w tunelu. Właściwie to cała chmara światełek wjeżdżających tirami przez zachodnią granicę. Import żywych świń bije rekordy! 7,7 mln sztuk przyjechało do nas na wczasy, a tak naprawdę to na ostatnią wieczerzę. W każdym razie marka Polish Ham dostała mocno po ryju. Słusznie byłoby ją zmienić na Mostly German Ham.

RJ

PS Doniesienia, które Państwu przedstawiamy, pochodzą z prasy terenowej, czyli z tamtego świata, gdzie fakty mieszają się z fantazją, a plotka urasta do rangi newsa. Oczywiście my jako poważny tygodnik satyryczny odżegnujemy się od jakiejkolwiek odpowiedzialności za prawdziwość tych rewelacji.

eprasa.pl 71b84b908f

Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

Przedsiębiorczy patriotyzm

Historia polskich przedsiębiorców każe im siedzieć cicho.

Od kiedy nieboszczka komuna wyzionęła ducha, każda władza prześciga się w wychwalaniu polskich kapitalistów. Każdy polityk niemal jak mantrę musi co jakiś czas powtarzać, że największą naszą wartością są polscy przedsiębiorcy i to, co robią dzięki swojej kreatywności, pracowitości i produktywności.

Aż dziw zatem, że to nie Polak wymyślił jakiegoś Twittera, nie stworzył Androida ani nie podbił rynków jakąś Teslą. Żadnego smartfona zresztą też nie wykombinował. A jak się wziął do projektowania Izery, to tylko po to, żeby świat miał się z czego śmiać.

Mebel na miarę ścierniska

Historycznie wyglądało to jeszcze zabawniej. Jednym z najpierwszych polskich tygrysów były Swarzędzkie Fabryki Mebli. Po 1989 r. błyskawicznie zreorientowały się na kapitalizm i ekspansję. W tym celu stały się spółką akcyjną, która na parkiecie zadebiutowała w tym samym momencie, gdy ruszyła Giełda Papierów Wartościowych.

Czytając gazety z początku lat 90., można było pęknąć z polskiej kapitalistycznej dumy. Gdy wokół wszystkie zakłady bankrutowały, a gospodarkę trafiał szlag, Swarzędzowi z jego ośmioma zakładami, w których pracowało około 3240 osób, żarło. I to jak.

Rosła produkcja – i to głównie na eksport. Firma otwierała w kraju i za granicą własne sklepy. Swarzędzkie meble były do kupienia w 100 placówkach w Polsce oraz w Czechach, na Słowacji, na Łotwie, Ukrainie i w Rosji. Spółka budowała swoje montażownie za granicą. Ba, eksportowała nawet swoje produkty do Chin.

Kreatywności, pracowitości i produktywności starczyło na parę lat. Od roku 1996 media, pisząc o Swarzędzu, zaczęły zajmować się tym, z iloma kooperantami podpisze ugody w sprawie restrukturyzacji zadłużenia, lub tym, jaki kolejny bank dał się zrobić w konia i udzielił firmie kredytu na przeżycie. Czasem pojawiały się wieści o kolejnych instytucjach finansowych, które zgodziły się umorzyć firmie odsetki. Te zaś miały od czego narastać, bo straty – a wraz z nimi długi – szły w dziesiątki milionów złotych rocznie.

Produkcja mebli przestała spędzać sen z powiek dzielnym przedsiębiorcom. Przez ponad 10 lat biznesmenów zajmowały tak produktywne poczynania, jak emisje kolejnych, coraz mniej wartych akcji, sprzedawanie czegoś o nazwie „obligacje zamienne" tudzież wyprzedawanie zakładów.

Mistrzostwo świata w udawaniu, że trup żyje, trwało nawet dłużej niż do 2009 r., kiedy to rozwiązano i zlikwidowano spółkę, ogłaszając upadłość. Prawdziwy koniec nastąpił na początku 2011 r. Bo dopiero wtedy wycofano akcje Swarzędz Meble S.A. z obrotu giełdowego.

Siodełko wodorowego bicykla

W drugiej połowie lat 90. Inter Groclin Auto należący do Zbigniewa Drzymały (ponoć z tych Drzymałów od wozu) był znaczącym eksporterem poszyć i całych foteli samochodowych. Na jego wyrobach zasiadały pośladki jeżdżących najpierw Volkswagenami i Renówkami, potem zaś reszty produkowanych w Europie samochodów. W 1998 r. firma weszła na giełdę, co dało jej kilkadziesiąt milionów złotych na rozwój. Opłacało się. W ciągu roku przychody firmy wzrosły o 92 proc. I w kolejnych latach szły w górę.

Doszło do tego, że w połowie pierwszej dekady tego tysiąclecia Groclin stał się największym na kontynencie dostawcą foteli i obić. Przede wszystkim dla Volvo, ale też drzymałowe siedzenia wyposażały marki tej klasy co Porsche, Mercedesy czy BMW. Firma faceta z Grodziska Wielkopolskiego miała ponad 3 proc. udziału w polskim eksporcie i wyceniano ją na ponad 800 mln zł. W sierpniu 2006 r. spółka zatrudniała ponad 3100 osób.

Pod koniec IV Rzeczypospolitej mocny wówczas złoty rozwalił w drzazgi rentowność firmy eksportującej 90 proc. produkcji. Drzymała, chcąc się ratować, przeniósł część produkcji na Ukrainę. Firma wzięła na te inwestycje kredyty, a tu nadszedł kryzys roku 2008 i produkcja samochodów padła na twarz, tak jak zamówienia dla Groclinu.

Obroty Inter Groclin Auto pikowały. W 2010 r. były przeszło trzykrotnie mniejsze niż trzy lata wcześniej. Akcje firmy, z ponad 140 zł, zleciały do kilku. Teraz są po 24 grosze. Drzymała dawno temu sprzedał udziały i się wycofał. W 2019 r. Groclin opchnął swój zakład w Grodzisku producentowi mebli. Potem akcje przepływały z rąk do rąk, a produkcja próbowała się odrodzić na europejskich peryferiach. Najnowsze enuncjacje dawnego tygrysa dotyczą produkcji w Polsce rowerów wodorowych. *Polska, jako jedno z kluczowych ogniw europejskiego rynku rowerowego, stwarza ogromne możliwości zarówno dla naszej produkcji, jak i dla inwestorów, którzy będą mogli liczyć na szereg korzyści związanych z naszymi planami inwestycyjnymi* – mówi współczesny bohater polskiej przedsiębiorczości Michał Seidel, obecny prezes Groclinu.

Pociąg do plajty

Na początku rządów PiS Mateusz Morawiecki podczas uroczystości przekazania składu polskiego pociągu Pesa niemieckiemu przewoźnikowi NEB radośnie pokrzykiwał, że do tej pory eksportowaliśmy do Niemiec tylko naszych najlepszych piłkarzy – Lewandowskiego, Podolskiego czy Klose, a dzisiaj zaczęliśmy eksportować wysoko przetworzone, technicznie zaawansowane produkty, jakimi są pociągi…

Bo bydgoska Pesa od roku 2009 robiła za biznesowy wzorzec cnót wszelakich. Wielomilionowe zamówienia na pociągi i tramwaje dla kilkudziesięciu polskich miast. Umowa na dostawę 470 pociągów dla kolei niemieckich warta 1,2 mld euro. Składy dla Moskwy, tramwaje dla Sofii, pociągi dla Czechów.

Pesa stawała do każdego przetargu. Nawet tam, gdzie nie miała choćby prototypu zamawianego pojazdu. Najgorsze było to, że wygrywała. Najgorsze – bo w końcu nie była w stanie wyrabiać się z produkcją. Coś, co przez wiele lat funkcjonowało, nagle działać przestało.

Nawet przekazanie Niemcom pociągu, w czym uczestniczył Morawiecki, też do końca przekazaniem nie było, bo opóźnienie sięgnęło roku. Pesa zaczęła więc negocjować z Niemcami wysokość kar za opóźnienia.

W kolejnych miesiącach ówczesna wizytówka polskiej przedsiębiorczości wycofała się z podpisania umowy na dostawę 35 tramwajów dla krakowskiego MPK za prawie pół miliarda złotych. Wbrew wcześniejszym deklaracjom nie złożyła też oferty w przetargu na 40 składów dla warszawskiego metra. Do tego doszły kary za takie drobiazgi jak przekroczenie wagi w produkowanych przez Pesę pojazdach, co pokomplikowało życie w firmach, które je pozamawiały. Choćby z tego powodu, że każdy pojazd jest obliczony na jakąś tam wytrzymałość torów, a jak jest cięższy, to nie powinien zostać na nie wpuszczony.

Na domiar złego PKP Intercity poinformowały Pesę, że wcześniejsza chęć dokupienia 10 pociągów już kolejarzom przeszła.

Fatalna passa Pesy, trwająca od czasu, gdy Mateusz Morawiecki zaczął ujmować ją w swoich wizjach polskiej, państwowej ekspansji przemysłowej, skończyła się po wymianie prezesa firmy i oznajmieniu wszem i wobec, że do przedsiębiorstwa wkroczy państwowy pisowski inwestor – Polski Fundusz Rozwoju.

Konsorcjum sześciu podległych państwu banków, z PKO BP na czele, dało firmie 200 mln zł kredytu. PZU udzieliło Pesie gwarancji na 50 mln zł, a państwowe PKP Intercity podpisały z firmą umowę o gruntownej modernizacji 163 wagonów. Pesa została państwowo ubezwłasnowolniona i mówienie o niej jako emanacji polskiej przedsiębiorczości przestało mieć sens. Choć właściwie to legenda Pesy skończyła się już wtedy, gdy zarządzający nią bohaterowie polskiego kapitalizmu doprowadzili firmę do plajty.

Dziś państwowa Pesa jest cieniem siebie sprzed lat. Ratuje się drobnymi kontraktami i nieustająco jest na państwowej kroplówce. W jej ramach parę miesięcy temu Bank Ochrony

Życie w dobrobycie

● Internet atakuje nas informacjami mającymi nas ogłupiać. I nie zawsze chodzi o działalność ruskich trolli. We wciskaniu kitu specjalizują się również portale ekonomiczne. Przytaczają choćby dane wzięte z zamówionych pod tezę badań, z których wynika, że pakiety zdrowotne i wypoczynkowe dla pracowników są ważniejsze od wynagrodzeń, a na dodatek takie „programy wellness" obniżają absencję chorobową o blisko 30 proc. Wszystko to podlane jest zazwyczaj bełkotliwym korporacyjnym sosem. *Dzisiaj pracodawca to ktoś więcej niż osoba zlecająca swoim podwładnym zadania. To aktywny lider zaangażowany w sprawy firmy i zatrudnionych w niej osób, dbający o jak najlepsze wyniki i relacje wewnątrz i na zewnątrz organizacji. Zgodnie z zasadami employer brandingu, odpowiedzialny pracodawca tworzy dla swojego zespołu przyjazne i atrakcyjne miejsce pracy. Wpisuje się w to także troska o zdrowie pracowników, traktowana nie jako benefit, ale jako podstawowy element strategii firmy. Wyniki badań pokazują, że kandydaci są o 70 proc. bardziej skłonni zaakceptować propozycję pracy od pracodawcy oferującego programy wellbeingowe. Co więcej – na etapie poszukiwania pracy 89 proc. osób bierze pod uwagę wyłącznie firmy, które wdrożyły tego typu rozwiązania, zaś 88 proc. pracowników stawia korzyści wynikające z inicjatyw wellbeingowych na równi z wynagrodzeniem. Z drugiej strony, 83 proc. osób rozważyłoby zmianę miejsca pracy z powodu braku działań prozdrowotnych. Programy wellbeingowe są więc jednocześnie sposobem na ściągnięcie na pokład i zatrzymanie w organizacji najbardziej utalentowanych pracowników.*

● To jednak wcale nie najpopularniejszy sposób robienia ludziom w sieci ekonomicznej wody z mózgu. Pojawił się bowiem raport nieznanej bliżej pani doktor „Przerwijmy milczenie: Tyle zarabiają dziewczyny w Polsce". W nim studentka z Poznania *ujawnia, ile zarabia, pracując na stacji benzynowej.* A pracuje tam na umowę-zlecenie już od ponad półtora roku i jak sama twierdzi, praca jest łatwa i przyjemna, a zarobki – jak na osobę jeszcze studiującą – są *super*. Miesięcznie dostaje od 4 tys. do 4,6 tys. zł na rękę. Tymczasem z Ogólnopolskiego Badania Wynagrodzeń wynika, że na początku 2024 r. średnia wypłata na rękę na stacjach benzynowych wynosiła 3186 zł. Tyle podały ankieterom 94 osoby, a reszta nie chciała opowiadać głupot. Zwłaszcza że kierownikom stacji benzynowej w liczbie 85 udało się przekonać ankieterów, że zarabiają na rękę przeciętnie 4529 zł miesięcznie.

● Ponieważ temat ratowników medycznych stał się modny, portale spytały jednego z nich, ile zarabia. Skoro nie musiał pokazywać PIT ani przelewu na konto, pan ratownik odparł, że *jeśli chodzi o etat, to jest to niewiele więcej, niż zarabia kasjerka w Lidlu czy w Biedronce.* Oczywiście nikt nie dopytał go, dlaczego wspomniał o etacie i czy poza nim może liczyć na jakieś dodatkowe pieniądze. Mogłoby się wtedy okazać, że aż takiej biedy ratownik nie doświadcza. Według serwisu wynagrodzenia.pl mediana pensji ratowników medycznych to niecałe 5,7 tys. zł netto. 25 proc. zarabia jednak mniej niż 4,5 tys. zł na rękę. Tyle samo dostaje więcej niż 7,2 tys. zł netto miesięcznie. Serwis nie podał, że ratownicy najczęściej pracują w kilku placówkach. Każda z nich płaci im osobno. Wojewódzkie Pogotowie Ratunkowe w Katowicach za pensum godzin wyrobionych przez ratowników w ich placówce płaci zaś od 8,5 tys. zł do 11 tys. zł netto. Co pokazywałoby, że gdy Polacy mówią o zarobkach, to łżą jeszcze bardziej niż firmy wciskające przedsiębiorstwom pakiety zdrowotne dla pracowników.

● Jest jednak w Polsce firma, której pracownikom pakiety wypoczynkowe i zdrowotne nie spędzają snu z powiek. Nazywa się Rafako i ma to do siebie, że w grudniu sąd ogłosił jej upadłość. Rafako stało się dzięki temu pierwszą dużą ofiarą Zielonego Ładu w Polsce. Specjalizowało się bowiem od zawsze produkowaniem dla elektrowni bloków energetycznych opalanych paliwami kopalnymi. A ponieważ okazało się, że żadnych elektrowni węglowych nie będziemy budować, to przed firmą stanęło widmo bankructwa. Zarząd próbował jeszcze załatwić finansowanie od Morawieckiego, ale i to się nie udało, choć plan był cwany, bo Rafako dogadało się z Rydzykiem i zostało jednym z głównych wykonawców należącego do redemptorysty Muzeum „Pamięć i Tożsamość" im. św. Jana Pawła II. Niestety Muzeum nie zapłaciło, więc kontrakt okazał się kolejnym gwoździem do trumny. We wrześniu łączna kwota zobowiązań Rafako wynosiła 675 mln zł. Ba, spółka

Rys. TOMASZ WIATER

otrzymała również 100 mln zł pomocy publicznej, którą musiała spłacić. Tym zaś zajmuje się teraz syndyk. Który miast oddawać szmalec, zajmuje się zwalnianiem załogi. Na zieloną trawkę idzie 700 spośród zatrudnionych 900 osób. Ze względu na opóźnienia w uregulowaniu wynagrodzeń część ze zwalnianych nie ma za co żyć, a to dlatego, że na konta niektórych wpłynęło zaledwie kilkaset złotych. Na dodatek zwalniani w wielkiej liczbie pracownicy mają duże trudności ze znalezieniem zatrudnienia w okolicy. Ale ponieważ oficjalne wskaźniki bezrobocia w Polsce pokazują, że zjawisko to nie występuje,

eprasa.pl 71b84b908f

Środowiska udzielił firmie gwarancji w wysokości 109 mln zł na budowę 16 dwuczłonowych pojazdów.

Na polskim rynku jest jeszcze jedna firma robiąca pociągi i tramwaje. Prywatna jak nie wiadomo co. Jednak o niej jako wzorcu zachowań biznesowych od jakiegoś czasu mówi się niewiele, i nawet unika podawania jej nazwy. A to dlatego, że produkty firmy okazały się wyposażone w elektroniczne ustrojstwa, które ponoć tak skutecznie blokowały składy, że musiały się pojawić na miejscu zastępy serwisantów, którzy za olbrzymie pieniądze zdejmowali blokady i uruchamiali pociągi.

Jak nie paczką, to naczepą

Od uruchomienia produkcji autobusów przez założyciela Solarisa Krzysztofa Olszewskiego w 1996 r. legenda firmy wchodziła pod strzechy. Fabrykę w Bolechowie pod Poznaniem opuszczały tysiące pojazdów. Sprzedały się do dziesiątków krajów. Nie była ściemą enuncjacja, że Solaris Bus & Coach S.A. jest europejskim liderem w zakresie produkcji nowoczesnych pojazdów komunikacji publicznej, a także czołowym producentem w Europie w zakresie projektowania i budowy autobusów z napędem elektrycznym.

Na koniec 2017 r. Solaris był największym europejskim producentem autobusów elektrycznych z udziałem w rynku wynoszącym 18 proc. Jego właściciele zarzekali się, że firma zawsze będzie należeć do państwa Olszewskich.

Plotki mówiły, że chrapkę na upaństwowienie firmy miał Morawiecki. Swego nie dopiął, bo od 2018 r. właścicielem polskiej spółki stała się hiszpańska grupa Construcciones y Auxiliar de Ferrocarriles. Firma wciąż produkuje, co produkowała, a nawet jeszcze więcej. W polskich fabrykach zatrudnionych jest nawet więcej osób niż pod przywództwem polskich przedsiębiorców, którym po prostu bycie polskimi przedsiębiorcami się znudziło.

Paru jednak jeszcze działa. InPost Rafała Brzoski zdominował rynek przesyłek w Polsce i teraz robi to samo w pozostałej części Europy. Kiedyś Brzoska zwykł mawiać, że jeśli wszystko jest pod kontrolą, to znaczy, że idziesz za wolno. Według znawców biznesu ktoś, kto takie rzeczy wygaduje, ma szansę na przeinwestowanie, czyli rychłą plajtę.

Wymyślony na polskiej prowincji Wielton wciąż produkuje naczepy samochodowe. Firma nauczyła się jednak, że nie wolno przeginać. I dlatego od lat nie wychyla się – i jak była czwartym producentem naczep w Europie i 10. na świecie, tak jest. Udowadniając, że nie każdy polski przedsiębiorca musi być wizjonerem owładniętym gigantomanią czy cwaniaczkiem, który tuż po rozhulaniu biznesu szuka jelenia, by zapłacił mu tyle, żeby nikt nigdy nie nazwał go już przedsiębiorcą, a co najwyżej rentierem lub inwestorem.

TOMASZ BOROWIECKI

to nikomu z rządu nie wpadło do głowy zainteresować się losem setek poszkodowanych klimatycznie osób.

● Grono szukających roboty może się wkrótce powiększyć o ludzi produkujących w Polsce samochody osobowe. W 2024 r. skręcono ich na naszych liniach montażowych 216 tys. Tylko grudniowy spadek wyniósł 58 proc. rok do roku, w całym zeszłym roku produkcja zmalała o 27,9 proc. Zachodnie koncerny ścięły zatem zamówienia dla fabryk w Polsce o niemal jedną trzecią. I na tym nie koniec. Firmy albo przenoszą produkcję do innych krajów, tańszych np. ze względu na ceny prądu lub wynagrodzenia, albo po prostu ją zwijają ze względu na niski popyt na autka. Tymczasem branża motoryzacyjna odpowiada za kilkanaście proc. sprzedaży zagranicznej towarów z Polski. W autobusach z Polski też zapaść, choć nieco mniejsza. W 2024 r. ich produkcja spadła ledwie o 9,8 proc. Doskonale za to ma się produkcja „pojazdów nienapędzanych silnikami spalinowymi" – znaczy rowerów. W grudniu wyprodukowano ich 52,4 tys., czyli o aż 246 proc. więcej rok do roku, a w całym 2024 r. produkcja poszła w górę o 46 proc. do 993 tys.

TTJ

Dobry emeryt to martwy emeryt

Wyzusowieni

Na stronach ZUS można wyczytać, że misją Zakładu jest profesjonalnie obsługiwać klientów, wykorzystując nowoczesne technologie i potencjał pracowników, oraz efektywnie zarządzać środkami publicznymi. Ani słowa o tym, że ZUS ma kogoś straszyć. Tymczasem straszy. Właśnie opublikowano raport o mrożącym krew w żyłach tytule „Dobrowolne ubóstwo. O konsekwencjach dobrowolnego ZUS dla samozatrudnionych".

W opracowaniu stoi jak byk, że zdecydowana większość samozatrudnionych – nie wiedzieć czemu zwanych powszechnie przedsiębiorcami – dostanie z ZUS emeryturę niższą niż minimalna.

Dziś płacący minimalne składki samozatrudnieni mogą liczyć na 1,3–1,6 tys. zł emerytury miesięcznie dla mężczyzn i 700–900 zł dla kobiet. Za 15–20 lat kwoty będą nominalnie wyższe, ale stanowiące ledwie 70–80 proc. przyszłej minimalnej emerytury. Oczywiście mowa tu o wartościach brutto, co oznacza, że na rękę będzie mniej o przynajmniej kilkanaście procent.

Biznesmeni spod mostu

W Polsce funkcjonuje ponad 2,2 mln osób samozatrudnionych. Ponad 70 proc. z nich nie zatrudnia ani jednego pracownika.

Każdy pracujący na własny rachunek podlega obowiązkowemu ubezpieczeniu społecznemu. Musi co miesiąc opłacać składki na ZUS. Przez pierwsze lata działalności gospodarczej są one niższe. Można skorzystać z ulgi na start, czyli braku składek przez pierwsze sześć miesięcy, czy małego ZUS – co oznacza znacznie niższe składki przez kolejne dwa lata. Potem jednak nie ma zmiłuj i ma się comiesięczny oblig odprowadzenia do ZUS składki. No, chyba że się działalność zawiesza. A robi tak co kilka miesięcy około jednej trzeciej samozatrudnionych. Wtedy składki się nie płaci, więc na koncie emerytalnym w ZUS nic nie przybywa, a wręcz traci się kolejne miesiące i lata składkowe. A to od ich zaliczenia będzie zależało to, czy łapiemy się na emeryturę minimalną, czy od minimalnej niższą.

Samozatrudnieni nie chcą płacić składek, bo te wyliczane są na podstawie wziętej z sufitu wielkości w postaci 60 proc. przeciętnego prognozowanego wynagrodzenia miesięcznego w całej gospodarce – a nie tego, czy w danym miesiącu cokolwiek zarobili. Dlatego do zapłacenia ZUS 1,8 tys. zł zmuszana jest tak krawcowa, która miesięcznie zarabia 2,5 tys. zł, jak i informatyk, któremu firmy płacą ponad 30 tys. zł.

Dla każdego prowadzącego działalność gospodarczą, te ZUS-owskie straszenia nie są niczym dziwnym. Każdy umie liczyć na tyle, że doskonale wie, co go czeka, gdy przejdzie na emeryturę. Po co więc powstał ten raport? Ano po to, żeby przekonać niesamozatrudnionych, że domaganie się przez osoby na działalności gospodarczej niższych składek jest bez sensu. Zarówno dla nich – bo będą klepali biedę na emeryturze – jak i dla etatowców, którzy z własnych podatków będą musieli biedaemerytów ratować przed śmiercią głodową.

ZUS jest instytucją państwową. Realizuje więc politykę rządu. A skoro, zamiast proponować rozwiązania zapobiegające takim czarnym scenariuszom, woli straszyć, to znaczy, że ten rząd – jak i wszystkie poprzednie – nie ma najmniejszego pomysłu, co z przyszłymi głodowymi emeryturami zrobić.

Lenie i obiboki

Najniższa emerytura, która do końca lutego wynosi 1780,96 zł brutto, od 1 marca 2025 r. osiągnie wysokość 1884,61 zł brutto. Na rękę daje to 1620,67 zł. Każdego dnia można sobie zatem pozwolić na wydanie nieco ponad 50 zł. Z tych pieniędzy emeryt ma się najeść, ogrzać, umyć, zapłacić za dach nad głową i bardzo często kupić lekarstwa.

Większość „życzliwych" rodakom Polaków powie, że przecież taki ktoś mógł pracować więcej i lepiej zarabiać. A skoro tego nie robił, to znaczy, że był leniem i na taką właśnie najniższą emeryturę zasłużył.

GUS twierdzi, że średnia emerytura w Polsce to ok. 3 500 zł. Na ten statystyczny pewnik większość Polaków patrzy ze śmiechem – tym samym, który ogarnia ich, gdy czytają, że średnie wynagrodzenie u nas to ponad 8,5 tys. zł miesięcznie.

Kłamstwo statystyczne nie jest jedynym, które dotyczy emerytów. Największym jest bowiem sama najniższa emerytura. Bo od czasu reformy Buzka czegoś takiego nie ma. Na ustawowe minimalne brutto załapują się bowiem faceci, którzy odprowadzali składki emerytalne przez 25 lat i kobiety, których składkami zasilano ZUS przez lat 20.

Tymczasem żyjemy w kraju, gdzie w latach 90. pracować można było najczęściej na umowach cywilnoprawnych, albo wręcz na czarno.

A jak ktoś harował na umowie o dzieło lub umowie-zleceniu, to fundusz emerytalny ZUS nie dostawał z tego ani grosza.

Niemający pojęcia o tych czasach i sytuacjach, wielkomiejscy liberałowie powiedzą zapewne, że ludzie mogli się na takie coś nie zgodzić. Oczywiście. Tyle że jedyną alternatywą dla nich i ich rodzin było wtedy żywienie się po śmietnikach i spanie pod mostem.

A jeśli i to nie przekona piewców wolnego rynku, to może niech spytają swoich znajomych koło pięćdziesiątki, czy kilkanaście lat temu mieli etaty. Nie mieli otóż. Tak samo jak urlopów i mnóstwa świadczeń, które się ma z racji bycia etatowcem.

Zarzucanie lenistwa ludziom, którzy w latach 90. spędzali po kilka miesięcy za granicą i – przybywając z kraju spoza UE – pracowali najczęściej na czarno, też jest nie fair. A przecież robiło tak dobrych kilkaset tysięcy Polaków.

Szlachetni obrońcy śmieciówek

Prawo jest jednak twarde. Jeśli za kogoś przez wymienione w ustawie lata nie płacono składki emerytalnej, to osoba taka nie dostanie emerytury minimalnej. Dostanie natomiast – jak w Biłgoraju – co miesiąc 2 grosze.

Aż dziw, że podając tę informację, ZUS nie zestawił jej z najwyższą wypłacaną w Polsce emeryturą za 67 oskładkowanych lat, wynoszącą 48 700 zł miesięcznie. Byłaby przecież szansa udowodnić – po zrobieniu z tego średniej – że przeciętna polska emerytura to niemal 25 tys. zł.

Mało kogo interesuje to, że liczba Polaków bez prawa do minimalnej emerytury wzrosła w ciągu kilkunastu lat ponad 20-krotnie. O ile bowiem w 2011 r. było takich osób niecałe 24 tys., to teraz jest ich ponad pół miliona. I ta armia będzie rosła. Według jednych ok. 2030 r. będzie ich prawie milion, według zaś innych – nawet 1,5 mln.

Od lat o nieoskładkowane śmieciówki walczyli pracodawcy, cały czas opowiadając, jak to uelastycznią rynek pracy, co wpłynie pozytywnie na gospodarkę. Parę lat temu nawet i ich – konkretnie zaś Federację Przedsiębiorców Polskich – zaskoczyły dane o niełapiących się na najniższe emerytury. Przedsiębiorcy wymyślili zatem, żeby zrobić ustawę nakazującą ZUS dopisać kapitał za lata, kiedy dana osoba pracowała na śmieciówce. A na dodatek lata te doliczyć do stażu niezbędnego, by dostawać emeryturę najniższą.

Ci, którzy zawsze gardłowali, że państwa ma być jak najmniej – dzięki czemu mogli płacić pracownikom po uważaniu i zamiast na ZUS przelewać ich składki na własne konta – lali krokodyle łzy nad tymi, których złupili i domagali się, żeby sprawiedliwość wzięło na siebie państwo.

Oczywiście apel ten nic nie dał, ale po jakimś czasie wrócił w postulatach Lewicy, która przed wyborami w 2023 r. opowiadała się za zaliczeniem śmieciówek do emerytalnych okresów składkowych, gwarantujących emeryturę minimalną. Lewica współrządzi i nawet szefuje resortowi pracy. I pewnie dlatego dziś mniejsze od minimalnych emerytury jej nie obchodzą.

Nieawanturujące się miliony

Tymczasem z emeryturami trzeba coś zrobić. I niech nikogo nie mylą dane mówiące, że minimalną emeryturę z ZUS dostaje dziś ok. 180 tys. osób, a z KRUS – niecałe 40 tys. Za dekadę do 1 mln osób niezasługujących zdaniem ZUS na minimalne świadczenie dojdą miliony kolejne. Choćby ci wspomniani przez ZUS-owski raport o samozatrudnieniu. Do tego dodajmy beneficjentów świadczeń socjalnych, które wymagają od ludzi wykazywania się minimalnymi zarobkami. Wszystkie te osoby zarabiały zatem oficjalnie jak najmniej. Najczęściej będąc zatrudnieni na pół etatu. Pracowały zaś ile się da i dostawały pieniądze pod stołem.

Na jaką – jeśli nie minimalną emeryturę – będzie mogło liczyć 1,5 mln pracowników zasuwających dziś za wynagrodzenie nieprzekraczające płacy minimalnej?

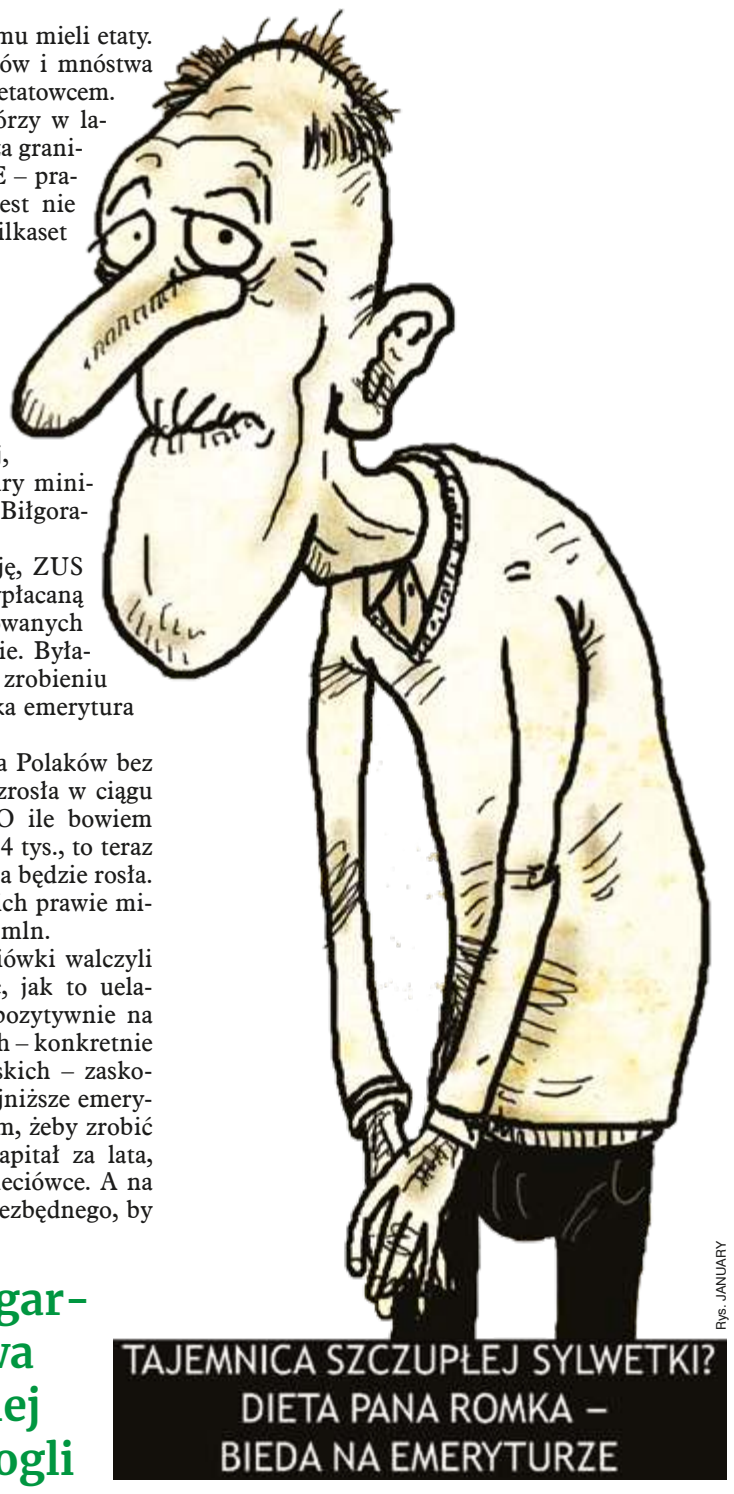

Rys. JANUARY

Można iść o zakład, że grono ludzi z niższą od najniższej emerytury zasilą wszelkiej maści twórcy. Od kabareciarzy przez piosenkarzy czy muzyków, do dziennikarzy. W tych zawodach pojęcie etatu jest niemal nieznane. Tak jak samozatrudnienie. Twórcy żyją z umów o dzieło. A od nich nie odprowadza się nawet składki zdrowotnej, już nie wspominając o emerytalnej.

Dziś emeryci to ok. 10 mln osób. Lada chwila będzie ich ponad 13 mln. Według światowych organizacji wartość polskich emerytur będzie spadać – i to w taki sposób, że za kilka lat ludzi, którzy nie będą mieli pieniędzy na zaspokojenie podstawowych potrzeb, będzie w RP ok. 8 mln.

Zdawać by się mogło, że dzisiejsze i przyszłe świadczenia dla osób starszych powinny być jednym z głównych haseł wszystkich kampanii wyborczych. A nie są. Nikt nie wraca do dyskusji sprzed lat, gdy partie przerzucały się – niejednokrotnie sensownymi – pomysłami.

Zaczął Waldemar Pawlak, gdy jeszcze był wicepremierem. Powiedział, że na starość jedno, na co będzie można liczyć, to utrzymanie przez własne dzieci. A potem dodał, że musimy myśleć o emeryturze obywatelskiej. Czyli takiej, którą dostanie każdy, kto osiągnie wiek emerytalny. Poza nią dostawałby też i tę z ZUS czy czegokolwiek.

Koncepcji przyklasnęli liberałowie z Centrum im. Adama Smitha. Ich wyliczenia pokazywały, że emerytura obywatelska miałaby być finansowana z podatków i wynosić powinna – w przeliczeniu na dzisiejszą wartość złotego – ok. 1500 zł. Szydło mówiła niegdyś, że emerytura obywatelska jest jedną z propozycji omawianych w PiS; jak dowiodły lata ich rządów – chyba nieskutecznie.

Wygląda zatem, że wszyscy rządzący czekają, aż zjawisko rozwiąże się samo. Po wielu latach wzrostu wieku umieralności Polaków od jakiegoś czasu trend się bowiem odwrócił. Umiera nas znacznie więcej, niż przewidywali demografowie. Może zatem politycy liczą, że problem głodujących emerytów rozwiążą sami emeryci. Poprzez schodzenie z tego łez padołu tydzień po przejściu na emeryturę.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 71b84b908f

Bajki dla myślących

Bilionerzy i mali superbohaterowie

Orgia w Davos

W położonym najwyżej nad poziomem morza mieście Europy, w szwajcarskim Davos, miało miejsce doroczne tarło grubych ryb, ba!, wielorybów tego świata. Jakie wody wynoszą te wieloryby do miasta położonego ponad 1500 m n.p.m., możemy się domyślić. Motywem przez nich deklarowanym była w tym roku: „Współpraca na rzecz inteligentnej ery". Jednak faktycznym i oczywistym motywem tej, jak każdej innej orgii, jest chuć.

Nie doszukujmy się w tym akcie prokreacji miłości. Przecież wiemy, że seks bywa gwałtowny i brutalny – często jest skutkiem nienawiści, a nie miłości. Przyglądając się światu, można przypuszczać, że w Davos brutalny seks dominował, a jeśli była tam jakaś miłość, to raczej tylko do pieniędzy. Nie dziwi to w świecie, w którym kluczowi politycy z coraz mniejszym zażenowaniem i wstydem dają dupy miliarderom. Czego najnowszym przykładem, bynajmniej nie zaskakującym, jest związek Trumpa z Muskiem. Trudno nazwać związek tych panów partnerskim. Bo to raczej związek oligarchiczny, a nawet neofeudalny. Świat się cofa! Nie byłoby przecież miliarderów bez poparcia władzy, a autorytarnych władców bez miliarderów. Społeczeństwo jest tu tylko narzędziem ich zysków i władzy – tłem.

Tytuł tegorocznego Davos, „Współpraca na rzecz inteligentnej ery", w czasach rozwoju sztucznej inteligencji pozornie brzmi dobrze, ale jeśli uświadomimy sobie, kto z kim ma współpracować i na czyją rzecz ma to działać – to już nie czujemy się tak fajnie. Liberałowie ekonomiczni usiłują nas przekonać, że dzięki bogactwu wypracowywanemu przez przedstawicieli biznesu wszyscy mamy szansę stać się zamożniejsi. To od lat już oczywista blaga.

Międzynarodowa organizacja humanitarna Oxfam, założona w latach 40. w brytyjskim Oksfordzie, przedstawiła ostatnio nowy raport o rozkładzie biedy i bogactwa na świecie. Za próg absolutnego ubóstwa uważa się osoby, których dochód nie przekracza 6,85 dolarów (ca. 30 zł) na dzień. Kwotą mniejszą niż ta w 2024 r. dysponowało 3,6 mld osób, czyli 44 proc. wszystkich żyjących na świecie. Na globie aktualnie głodują 733 mln osób. Ta liczba wzrosła od 2019 r. o ponad 26 proc. – o 152 mln ludzi.

A jak jest w Polsce? Jest także raport w tej sprawie – autorstwa prof. Ryszarda Szarfenberga. Skrajne ubóstwo określono w 2023 r. na 835 zł miesięcznie. Dochody poniżej tej kwoty w naszym wspaniałym europejskim kraju ma 2,5 mln osób. Jeszcze w 2022 r. było ich o 800 tys. mniej.

Tymczasem zasoby 10 najbogatszych ludzi na świecie – według Oxfam – rosną średnio o 100 mln dolarów dziennie. Majątek najbogatszego z nich, Elona Muska, sięgał w 2024 r. 290 mld dol.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W dniu ogłoszenia zwycięstwa Trumpa majątek 10 najbogatszych Amerykanów wzrósł automatycznie o ponad 60 mld dol. Opłacało się chłopakom zainwestować w wybory tego gościa – no nie?

Jak pokazuje portal statista.com, 1,2 proc. światowej populacji kontroluje oszałamiający majątek o wartości 221,7 biliona dolarów (47,8 proc. światowego bogactwa). Ich majątek od początków kapitalizmu stale rośnie. To cecha SYSTEMU. To PROCES. Czy istnieją procesy społeczne lub ekonomiczne, które mogłyby ten proces, działający jako immanentna cecha systemu, odwrócić albo choć zatrzymać? To oczywiście pytanie retoryczne.

A sprawiedliwość?! To jasne; jawnie i rażąco niesprawiedliwych nierówności nie zmieni nawoływanie do przeznaczenia większych pieniędzy na pomoc społeczną, nie zmieni działalność charytatywna. Nie mam nadziei, że ten problem rozwiąże postęp techniczny ze sztuczną inteligencją na czele. Nie zmienią tego apele NGO-sów i naukowców o pohamowanie biedy na świecie nawet wtedy, gdy przestrzegają przed dramatycznymi skutkami utrzymywania i narastania nierówności. Takie działania wydają mi się śmieszne i jednocześnie żałosne. Tym bardziej stały wzrost bogactwa nielicznych przeraża.

Opowieść o sprawiedliwości to nie jest rzeczywistość tego świata. Ziścić się może tylko w marzeniach i w bajce. Pewnie warto, dla poprawy nastroju, skosztować atmosfery bajki i pomarzyć. Może kiedyś...

Ale dziś opowiem antybajkę. Wyobraź sobie – a niewiele wyobraźni do tego trzeba – że niewielka grupa ludzi dysponuje jeszcze większym niż dziś bogactwem. To bogactwo jest narzędziem pracy tych ludzi – bo jest skutecznym narzędziem oddziaływania na świat, czyli na nas. Ci ludzie mogą prawie wszystko. Mogą nie tylko wpływać na polityków i politykę, która reguluje nasz codzienny sposób i poziom życia, mogą do tej polityki osobiście wchodzić.

To nie bajkowa fikcja. To już faktycznie dzieje się na naszych oczach, nie tylko w USA. Odrodziła się wersja feudalizmu w kapitalistycznym świecie. W ten sposób własnością bogaczy tego świata stały się nie tylko ich nieruchomości, jachty, fabryki, fundusze inwestycyjne i banki. Ich własnością stali się ludzie – nie w jakimś prawnym sensie, ale faktycznie. Patologiczny związek kapitału z polityką uczynił demokrację całkowicie bezbronną i pozorną. Powiedzenie, że pieniądz rządzi światem, jest w tym świecie aktualne jak nigdy dotychczas.

No, ale w każdej bajce, jak w blockbusterze Marvela, muszą się pojawić bohaterowie.

Zatem wyobraź sobie, że z bilionerami i skorumpowanymi politykami podjęli wspólną walkę superbohaterowie: Batman, Superman i Spiderman. Chcieli podzielić ich majątki i rozdać biednym. Jak myślicie, czy im się to udało? Niestety, jak się domyślacie, nie da się zakończyć tej bajki happy endem. Cała trójka wylądowała w psychiatryku.

PS Ja chyba też dobrowolnie powinnam zgłosić się do odpowiednich specjalistów. Czyż nie?!

ANNA GRODZKA

Nie ma co pytać, czy Stany zdradzą kogoś ze swoich sojuszników – ale kiedy i kogo.

Kochający amerykańskich demokratów komentariat nijak nie chce się ogarnąć przy Trumpie. Dla niego wszystko, co robili Clinton, Obama i Biden, to samo dobro, każde zaś słowo Trumpa – a wystrzeliwuje ich z siebie tysiące – to koniec znanej nam cywilizacji. Ukoronowaniem tego postrzegania jest dokonujące się od miesięcy doklejanie Trumpowi gęby marionetki Putina. Adwersarze Trumpa nie pokazali jednak w swoich mediach, że z przegranej Kamali Harris bardzo ucieszyli się Ukraińcy. Bo nie tylko społeczeństwo USA miało już serdecznie dość pustosłowia i gestów równie pięknych, jak i nic nieznaczących, a sprowadzających się do clintonowskiego palenia bez zaciągania.

Nikt wam tyle nie obieca

Kijów miał dość polityki Bidena, który co prawda wyzywał Putina od zbrodniarzy, ale Ukraińcom wzbraniał skutecznego atakowania Federacji Rosyjskiej. Nikt nie pamiętał już fotek Bidena z Kijowa, który prezydent USA odwiedził niemal w rocznicę ruskiego ataku. *Jesteście bohaterami, będziemy zawsze stać u waszego boku* – mówił wtedy i przypominał gadkę wypowiadaną od początku inwazji: *Będziemy z Ukrainą tak długo, jak będzie trzeba*. Po wpompowaniu w Ukrainę setek miliardów dolarów – nie aby Ukraina wygrała, lecz żeby powstrzymywała Rosję – amerykańscy deputowani uznali, że to „trzeba" właśnie się kończy. Nie wspominając o tym, że Biden nie wspominał, że Stany Ukrainy nie zostawią.

Tajwan też miał w ostatnich latach serdecznie dość nic nieznaczących zapewnień Waszyngtonu, że Stany go nie porzucą. Szczególnie że im więcej USA takich zapewnień wysyłały, tym bliżej wyspy armia chińska ćwiczyła swoje scenariusze wysadzenia desantu.

Palestyńczycy ze Strefy Gazy, ile razy widzieli wizytującego rejon Antony'ego Blinkena, modlili się do Allacha, by w końcu zamienił tego ładnie uśmiechającego się pana na kogoś, kto – nie wstydząc się przyznać do miłości do Netanjahu – powstrzymałby izraelskie bombardowania.

W Normandii ich nie było

Ci, którzy liczą, że Trump uspokoi sytuację na świecie, nie liczą na wiele. Wiedzą, że amerykański prezydent lubi spektakularne akcje, a gdy te wypalają, to o ciągu dalszym zapomina i bierze się za kolejny fajerwerk.

Po I wojnie w Zatoce, kiedy dogadani z Waszyngtonem Kurdowie rozpoczęli powstanie przeciwko Saddamowi, USA – mimo że przecież o Trumpie im się nie śniło – nie wywiązały się z obietnicy wsparcia i zostawiły powstańców na kilkuletnią pastwę dyktatora. Potem zapewnienia amerykańskie znów wróciły, a Kurdowie kolejny raz uwierzyli. Tym razem udało im się, bo w Iraku załapali się na autonomię, której nikt nie był w stanie zagrozić do momentu powstania tzw. Państwa Islamskiego. Kurdowie z Iraku i Syrii znów zostali namówieni do sojuszu ze Stanami. Dostali gwarancję utworzenia na terenach Syrii i Iraku własnego państwa. Gwarantem miały być oczywiście USA.

Kurdowie wystawili więc Powszechne Jednostki Ochrony (kurd. Yekîneyên Parastina Gel – YPG) oraz ich kobiecą wersję (kurd. Yekîneyên Parastina Jin – YPJ). Oddziały te powstały jako zbrojne ramię Partii Unii Demokratycznej (kurd. Partiya Yekîtiya Demokrat – PYD), która z kolei jest syryjskim odłamem Partii Pracujących Kurdystanu. Dopóki ISIS istniało, nikomu taka sytuacja nie przeszkadzała. Jednak gdy Państwo Islamskie z przemożną pomocą Kurdów obalono, prezydent Turcji Erdoğan stwierdził, że opanowane przez Kurdów pogranicze syryjsko-tu-

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Na Białorusi odbyły się wybory prezydenckie. Zgodnie z przewidywaniami zwyciężył Aleksander Łukaszenka, uzyskawszy 87,48 proc. głosów. Drugie miejsce zajął kandydat komunistów Siergiej Syrankow (3,21 proc.), a kolejne Oleg Gajdukiewicz (2,02 proc.), Anna Kanopackaja (1,86 proc.) i Aleksander Chiżniak (1,74 proc.). Przeciwko wszystkim głosowało 3,6 proc. Białorusinów. *Tylko 87,6 proc. Białorusinów kocha swojego baćkę?! Czy reszta pomieści się w więzieniach?* – wyraził swe zaniepokojenie na portalu X minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. *Nie wtykaj nosa tam, gdzie nie powinieneś* – odparł Radkowi szef białoruskiej dyplomacji, Maksim Ryżenkow. Iście dyplomatyczna konwersacja.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

☆ O Białorusi w poważniejszym tonie pisze na łamach tygodnika „Do Rzeczy" Maciej Pieczyński: *Wielu Białorusinów uwierzyło, że* [prezydent] *jest gwarantem pokoju. Narracja Łukaszenki w sprawie inwazji na Ukrainę, kierowana do wewnątrz, brzmiała i brzmi mniej więcej następująco: „Rosja ma rację, pacyfikując nazizm na Ukrainie. Ukraińcy to nasi bracia i sąsiedzi, ale trzeba ich wyzwolić spod brunatnej okupacji. I niech to robią Rosjanie – my, Białorusini, jesteśmy pokojowym narodem i nigdy nie wejdziemy do wojny!". „Baćka" słowa dotrzymał.* (…) *Białorusini, inaczej niż Rosjanie, są szczerymi pacyfistami. Małe pozbawione silnych tradycji państwo w środku Europy, wciśnięte między mocarstwa. Tradycyjna trasa przemarszów kolejnych armii, które w kolejnych wojnach rujnowały i wyludniały te ziemie.* (…) *To wszystko sprawia, że Białorusini w swej masie najbardziej pragną pokoju. A kto im ten pokój może zapewnić? Cichanouska? Paweł Łatuszka? A może Pułk Kalinowskiego? Nie – tylko dyktator Łukaszenka.* Szkoda, że polscy politycy nie wpadli na pomysł, iż obietnica pokoju może przysporzyć im zwolenników.

☆ Zbigniew Parafianowicz komentuje na łamach „Dziennika Gazety Prawnej" poczynania Trumpa w polityce zagranicznej: *Z uderzeniem cłami w Kanadę i Meksyk, a w perspektywie także w Europę, jest jeden problem. Nie są to państwa wrogie wobec USA.* (…) *Łatwiej byłoby zrozumieć tę politykę Białego Domu wobec sojuszników, gdyby prezydent USA był równie twardy wobec państw Ameryce wrogich. Tymczasem Chiny i Rosja są na razie wyjęte z tej układanki. Podobnie jest z Iranem. Prezydent USA nakłada co prawda 10-procentowe cła na produkty chińskie, ale to decyzja symboliczna.* (…) *Z Rosją jest podobnie. Trump nie wykazuje się na razie siłą i zdecydowaniem, jakie prezentuje wobec nielegalnych imigrantów z Gwatemali czy Meksyku.* Zapewne dlatego, że w USA nie ma nielegalnych migrantów z Rosji.

☆ Trump wyraził zainteresowanie ukraińskimi złożami metali ziem rzadkich. Na reakcję nie trzeba było długo czekać: *Jesteśmy otwarci na to, że wszystkie surowce mogą być eksploatowane wspólnie z naszymi partnerami, którzy pomagają nam bronić naszej ziemi i odpychają wroga swoją bronią, obecnością, pakietami sankcji. To jest absolutnie sprawiedliwe. Mamy wystarczająco dużo metali ziem rzadkich* (…) *W niektórych miejscach naprawdę znajdują się duże złoża minerałów.* (…) *Chciałbym, aby amerykański biznes, który jest bardzo zainteresowany wejściem na rynek ukraiński, rozwijał ten obszar tutaj* – oznajmił Wołodymyr Zełenski. Kto by pomyślał, że 150 lat po rozwiązaniu Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej kolonializm będzie miał się tak dobrze? Czas powołać Amerykańską Kompanię Ukraińską!

☆ O kolonialnych obyczajach zaświadcza także w niedawno opublikowanym oświadczeniu „Krytyka Polityczna": *Donald Trump zdecydował o zawieszeniu amerykańskiej pomocy zagranicznej na 90 dni. Wydarzyło się to na początku zeszłego tygodnia. Dostałam mejla od organizacji, z którą współpracujemy i realizujemy projekt dotyczący wspierania mediów niezależnych. Wiadomość miała tytuł: „Grant suspension", czyli „Zawieszenie dotacji". Jako Stowarzyszenie im. Stanisława Brzozowskiego, czyli organizacja prowadząca „Krytykę Polityczną", odpowiadamy za wiele projektów finansowanych ze środków publicznych, także dofinansowywanych przez zagraniczne organizacje. Bez tych środków nie moglibyśmy działać.* Niezależne media niemogące działać bez dotacji obcego rządu to interesujący wynalazek.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 71b84b908f

Trump nie spadł z nieba

reckie jest korytarzem terroru. Trump zaprzyjaźniony z Erdoğanem niby nie wiedział, o co Ankarze chodzi, więc zapewniał, że sojusznika nie opuści i nie pozwoli Turcji zabijać Kurdów.

Po paru miesiącach mu przeszło. Na kurdyjskie tereny w Syrii wjechały tureckie czołgi i zaczęły robić z Kurdami porządek.

Trump strzelił spicz o tym, że Kurdowie *nie pomogli* nam w czasie II wojny światowej; nie pomogli nam na przykład w Normandii – i amerykańskie oddziały mające bronić Kurdów wycofał z dnia na dzień. Turcy spacyfikowali pogranicze, wystrzelali bojowników.

Rys. LESŁAW KUCZERSKI

YPG i YPJ uznali za organizacje terrorystyczne. Teraz, gdy w Syrii wszystko się zmieniło, jedno pozostało niezmienne – tureckie militarne panoszenie się na terenach etnicznie kurdyjskich.

Czego wart jest Kabul?

Po 11 września 2001 r. okazało się, że nitki zamachowców wiodą do rządzonego przez talibów Afganistanu. Ponieważ NATO uznało atak na WTC za atak na sojusz, to sojusznicy stanęli w obronie Stanów Zjednoczonych. Wojska zachodnie szybko opanowały cały kraj i pozwoliły miejscowym nieortodoksom być obywatelami w miarę świeckiego państwa muzułmańskiego. Takiego, w którym kobiety mogły pracować i się uczyć. Przez 20 lat całe pokolenie młodych Afgańczyków z większych miast zaczęło czuć, czym jest współczesna cywilizacja. Rząd afgański mógł działać, bo miał deklaracje wieczystej amerykańskiej pomocy. Wraz z rządem uwierzyły w nie miliony młodszych Afgańczyków. Tyle że z roku na rok wiara malała, a z zaprzyjaźnionego z USA Pakistanu na teren Afganistanu właziło coraz więcej uzbrojonych talibów.

W końcu prezydentem został Trump, który z ortodoksami się dogadał i obiecał, że US Army i reszta jej sojuszników pójdzie sobie w cholerę. Joe Biden odziedziczył te ustalenia i obwieścił paromiesięczne opuszczanie kraju. Z kilkunastu tygodni wyprowadzki zrobiło się kilka, bo Amerykanie dostali rozkaz niewalczenia, a zdradzona przez nich armia afgańska, świadoma, że nikt jej nie ewakuuje, poddawała się talibom w nadziei, że ocali skórę. Uciekający sojusznicy rządu Afganistanu porzucili sprzęt wojskowy wart około 85 mld dol. Talibowie mieli więc więcej Black Hawków niż większość krajów zachodnich. Sceny z Kabulu, skąd chcieli uciec ci, którzy wierzyli w amerykańskie gwarancje, widzieli wszyscy. Trump też – i nie pamiętając o tym, że to on podjął decyzję o militarnym porzuceniu Afganistanu, odpowiedzialnością za obciach ewakuacyjny obarczył nieudolnie wykonującego te ustalenia Bidena.

Przegranych nikt nie będzie rozliczał

Doszukiwanie się w sojuszniczych woltach Trumpa jakiejś jego szczególnie złej woli czy specyficznego sposobu prowadzenia polityki i biznesu nie ma sensu. Donald Trump nie jest jakimś wyjątkiem. A na dodatek z racji wieku doskonale zna historię amerykańskich sojuszy i interwencji militarnych.

Miał 15 lat, gdy w 1961 r. na czele USA stanął John F. Kennedy, prezydent, który uznał, że musi pokazać siłę. Jego otoczenie doszło zaś do wniosku, że najlepszym miejscem na konfrontację z komunizmem będzie Azja Południowo-Wschodnia. *Mamy obecnie obowiązek uwiarygodnić naszą potęgę i Wietnam jest tym właśnie miejscem, gdzie tego dokonamy* – stwierdził JFK.

Skutkiem tego były stała obecność setek tysięcy żołnierzy przez dekadę walczących za Wietnam Południowy, nieustanne zapewnienia kolejnych prezydentów USA, które słyszały władze w Sajgonie, i miliony ludzi, którzy postawili na Amerykanów. Na skutek znudzenia społeczeństwa wojną 27 stycznia 1973 r. podpisano w Paryżu układ amerykańsko-północnowietnamski. Amerykanie opuścili swoich sojuszników. Wietkong bez przeszkód sunął na południe, zajmując kolejne obszary swojego sąsiada.

Już 30 kwietnia Sajgon dostał się w ręce komunistów. Cały Wietnam był już ich, z milionami tych, którzy uwierzyli Waszyngtonowi. Bilans ofiar wietnamskiej jatki do dziś budzi emocje. Zginęło od 2,5 do 3 mln Wietnamczyków i prawie 60 tys. amerykańskich żołnierzy. Dziesiątki tysięcy obywateli Wietnamu Południowego trafiło albo pod ścianę, albo do „obozów resocjalizacyjnych".

Od roku 1970 w Kambodży rządził wspierany przez Amerykanów generał Lon Nol. Waszyngton miał w Kambodży swoich żołnierzy, a na dodatek na walkę z komunistami dał Lon Nolowi 155 mln dol. (dziś trzeba by pomnożyć tę kwotę razy 40) pomocy wojskowej. Oczywiście Lon Nol słyszał od każdego oficjela amerykańskiego zapewnienie o dozgonnej przyjaźni i współpracy oraz że Kambodży nie opuszczą nawet po śmierci. Tyle że z dnia na dzień Jankesi wyszli, Czerwoni Khmerzy zajęli w 1975 r. Phnom Penh, po czym wymordowali połowę narodu, który miał pecha zawierzyć Ameryce. Przed wybiciem reszty Kambodżan ocaliły wojska komunistycznego Wietnamu, które Pol Pota obaliły. Amerykańskie gwarancje sprawdziły się tylko w stosunku do Lon Nola, który najpierw dostał azyl na Hawajach, a potem aż do śmierci mieszkał w Kalifornii.

Obok Kambodży i Wietnamu jest Laos. Jego władze też miały obietnice bezpieczeństwa od Ameryki. Ba, pomiędzy 1962 i 1971 rokiem USA dostarczyły władzom Laosu około 500 mln USD pomocy wojskowej, nie licząc kosztów wyposażenia i wyszkolenia oddziałów paramilitarnych i nieregularnych. Nie wspominając o regularnych amerykańskich oddziałach wojskowych, broniących Laosu. Mimo zapewnień w roku 1973 US Army niemal z dnia na dzień z Laosu zniknęła. Władzę objęli komuniści, a wtedy zaczęli znikać ci, którzy mieli pecha ufać Amerykanom.

Kogo by tu jeszcze?

Donald Trump dobrze te historie zna. Wie również, że żaden Amerykanin po Lon Nolu czy Sajgonie nie płakał. Społeczeństwo amerykańskie ma bowiem prowadzone przez Amerykę wojny gdzieś. To, że US Army na jakimś zadupiu świata się z kimś bije, bierze się stąd, że tak chce prezydent, a jego służby prasowe mają tak urobić opinię publiczną, by ta była za daną interwencją całym sercem.

Z Ukrainą Waszyngton ma jednak ten problem, że amerykańscy chłopcy tam nie walczą. Kraj ten nie ma jakiegoś szczególnego znaczenia dla Stanów. A jedyne, co można Ukrainą rozgrywać w głowach Amerykanów, to starą dobrą zimnowojenną konfrontację z Kremlem. To jednak dla Trumpa za mało. Poczuł bowiem biznesową krew i gdy widzi, że Europa chce Ukrainy bronić, to jest bardzo za, pod warunkiem że Stary Kontynent wysupła grube miliardy i przyjdzie z nimi na zakupy do amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego. Ale żeby do tego doszło, to wojna rosyjsko-ukraińska musi trwać jeszcze latami.

Dokładnie tak jak konflikt bliskowschodni. Trump wie lepiej niż dobrze, że to, żeby nic się nie zmieniało w Gazie, Izraelu i Autonomii, leży w interesie zarówno Hamasu, jak władz palestyńskich oraz oczywiście Izraela. Jedynego sojusznika Stanów Zjednoczonych, którego Waszyngton jeszcze nie zdradził.

TADEUSZ JASIŃSKI

Trumpolandia

Małpa z brzytwą na żywo

Oglądanie tego, co Donald Trump robi z USA, jest jak oglądanie kraksy kolejowej w zwolnionym tempie. Tony stali zmiażdżone jak sreberko od świstaka, szkło pryska, trakcja majestatycznie opada na ziemię, siejąc iskry i przygodne porażenia prądem, ucięta głowa stacza się z nasypu… Niby patrzenie to żadna przyjemność, ale nie można przestać. Dlaczego tylko my mamy mieć radochę?

Ruszamy zatem z nową rubryką, w której będziemy donosić Państwu o szczególnie interesujących wysiłkach Lidera Wolnego Świata na rzecz zniszczenia kraju, który go wybrał. Trump wkracza do akcji z determinacją małpy z brzytwą – i osobiście nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że wiele z jego akcji będzie miało finalnie pozytywny dla świata efekt, osłabi bowiem globalne wpływy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

I tak, wiem, że ta nazwa obowiązywała w PRL, a teraz już nie – ale skoro dziś w Polsce oficjalnie mówi się o Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich, to ja mogę dorzucić Północ do Stanów. Ameryka to dwa kontynenty o powierzchni 42,5 mln km kw. zamieszkiwane przez miliard ludzi. Stany Zjednoczone mają niespełna 10 mln km kw. i 340 mln mieszkańców. To tak jakby aglomerację katowicką nazwać Miastami Zjednoczonymi Polski.

A teraz do rzeczy.

USAID – Agencja Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego – to założona przez prezydenta Kennedy'ego agencja rządowa zajmująca się oficjalnie dystrybucją pomocy USA dla świata całego. Pomoc ta w obowiązującej w USA opinii jest wielka i szczodra – choć w istocie rzeczy stanowi 1 proc. budżetu federalnego. To tak jakby koleś, co zarabia 10 kafli, oddawał 100 zł na biedne dzieci. Co więcej – z każdego dolara wydanego w ramach USAID 88 centów przytulają tzw. organizacje międzynarodowe z zasady ulokowane w Waszyngtonie. 10 proc. idzie do organizacji lokalnych (często będących filią tych międzynarodowych), 1,3 proc. to pomoc adresowana wprost do rządów (co często oznacza łapówki). Zaledwie 0,3 proc. – trzy dziesiąte centa z każdego dolara – trafia bezpośrednio do oddolnych organizacji w krajach, którym USA jakoby świadczą pomoc.

Naukowcy z Uniwersytetu Waszyngtońskiego obliczyli, że waszyngtońskie organizacje pomocowe – skądinąd kompletnie zmonopolizowane, połowa kasy idzie do 10 z nich – doskonałą większość tej kasy wydają na siebie. Np. z grantów zdrowotnych 15–30 proc. idzie na koszty ogólne organizacji, 25 proc. – na pensje w centrali, kolejne 25 proc. – na personel wysłany za granicę, aby zarządzać lokalnymi beneficjentami. Resztówkę rozdziela się na zakup szczepionek, leków, testów i pensje dla lokalsów; groszowe, ale i tak wielokrotnie wyższe niż przeciętny zarobek w okolicy, żeby byli wdzięczni i nie fikali.

Z drugiej strony wszakże – w krajach, które prezydent Trump nazywa dziurą w dupie, amerykańskie lekarstwa obklejone z każdej strony informacją, że są przejawem amerykańskiej hojności, to dla tysięcy matek różnica między życiem i śmiercią ich dzieci.

W sumie – USAID to unikatowo amerykański koncept rolowania świata w dupę tak, żeby za to pokornie dziękował. Wcielenie „miękkiej siły"; budowania wyidealizowanego wizerunku USA w świecie za gówniane pieniądze. I Trump właśnie je likwiduje.

Elon Musk – który w ramach agencji nazwanej zgrabnie Departament Efektywności Rządu (DOGE) robi w administracji federalnej to, co zrobił w Twitterze – ogłosił: USAID to *gniazdo żmij radykalnych lewicowych marksistów, którzy nienawidzą Ameryki.*

Na razie wszelkie finansowanie USAID jest zamrożone, ale przyszłość jawi się jasno: *Jeśli chodzi o USAID, omówiłem to szczegółowo z prezydentem i zgodził się, że powinniśmy to zamknąć* – napisał Musk na X.

A skoro już jesteśmy przy działalności Muska i DOGE – warto odnotować, iż pod koniec stycznia wystosował on do 2 mln państwowych urzędników maila zatytułowanego „Rozdroże" (*Fork in the road;* tak samo zatytułowanym mailem wypierdalał pracowników Twittera). Stało w nim, że mają wybór: jeśli zdecydują się odejść z pracy, będą dostawali pensję do końca sierpnia i nie będą musieli przychodzić do roboty. Ale jakby się upierali, żeby zachować zatrudnienie, to mają wracać do biur (od co-

Rys. MARCIN CHUDZIK

vidu wiele urzędów pracowało zdalnie) i *nie możemy dać ci pełnej pewności co do zachowania twojego stanowiska, ale jeśli zostanie wyeliminowane, będziesz potraktowany z godnością*. I jeszcze, że oferta jest ważna do 6 lutego, wystarczy odesłać maila, wpisując w temacie *Rezygnuję*. Koncept, iż tak potężna instytucja jak państwo amerykańskie nie może funkcjonować bez państwowych urzędników, najwyraźniej nie zawitał do elonowego rozumku.

Niespełna 24 godziny później wojskowy helikopter na ćwiczeniach wpierdolił się nad Waszyngtonem na samolot pasażerski, powodując katastrofę z 67 ofiarami śmiertelnymi. Dzień później dwusilnikowy odrzutowiec medyczny transportujący małą pacjentkę i jej matkę rozbił się w Filadelfii. Zginęło wszystkie sześć osób na pokładzie i jedna na ziemi; 19 zostało rannych. Kolejne dwa dni później na chicagowskim lotnisku O'Hare lądujący samolot wywrócił skrzydłem holownik lotniczy; kierowca wywróconego holownika odniósł „krytyczne obrażenia", ale ponoć udało się go ustabilizować. Szefostwo Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu (NTSB) – rządowej agencji badania wszelkich wypadków transportowych – rzuciło się błagać Muska, żeby wyłączył pracowników NTSB z programu dobrowolnych odejść, bo ma braki kadrowe i wielu pracowników w wieku przedemerytalnym. Musk łaskawie się zgodził.

Biorąc pod uwagę charakter naszej pracy w zakresie bezpieczeństwa, ograniczony budżet i trwające dochodzenie w sprawie masowego wypadku lotniczego z największą liczbą ofiar śmiertelnych od 11 września, potrzebujemy każdego pracownika agencji, abyśmy mogli z powodzeniem wykonywać kluczową pracę – napisała do swoich podwładnych szefowa NTBS, Jennifer Homendy.

Pracownicy są potrzebni do wykonywania pracy? Kto by się spodziewał?

AWŁ

eprasa.pl 71b84b908f

Niepiśmienna, ale lewitująca

W co wierzy polski katolik.

Pamiętam z filmu o Panu Kleksie brawurową piosenkę w wykonaniu Piotra Fronczewskiego „Poradnik młodego zielarza” z nieśmiertelnym wezwaniem, aby słońcem się pokrzepić i nade wszystko biegać, skakać, latać, pływać, w tańcu, w ruchu wypoczywać. Ku swojemu zdziwieniu odkryłam Polkę, nomen omen święcącą za komuny w kręgach katolickich sukcesy, która choć skakania i tańca raczej nie popierała, to jednak umiała latać.

I nie, nie mówię o kimś w rodzaju pilotki myśliwców, żonie marszałka sejmu Hołowni czy skoczkiniach narciarskich. Owo latanie, a dokładniej lewitacja, są potwierdzone akademicko, przecież naukowe pismo katolickie, które o tym doniosło, nie kłamałoby.

I jeszcze ta zacna kobieta pięknie pachniała – niczym kwiatki na łące – choć żadnych kosmetyków nie używała. Miała też dar bilokacji, którego jej niezwykle zazdroszczę, bo chciałabym jednocześnie prowadzić zajęcia ze studentami i oglądać w domu z mężem (własnym!) Netfliksa. Mówiła w nieznanych sobie językach, co zresztą dziwnie przypomina moje próby dogadania się z niektórymi obcokrajowcami na studiach anglojęzycznych. Przez kilkadziesiąt dni z rzędu pościła, żywiła się wyłącznie opłatkiem komunii, co każdej kobiecie, która już porzuciła noworoczne postanowienie zrzucenia jakoby zbędnych kilogramów, musi imponować.

Przepowiedziała również przyszłość Polski i świata, która – że uprzedzę fakty – jawi się jako chujowa, co wszystkich obserwujących zmiany klimatyczne, Trumpa w USA czy nieudolność obecnej władzy nieszczególnie dziwi.

A wszystko to w ciele niepiśmiennej Ślązaczki, żyjącej w latach 1907–1986 Katarzyny Szymon. Mistyczki i stygmatyczki, która była na tyle sławna, że załatwiono jej swego czasu spotkanie z JP2. Choć Kościół oficjalnie nie uznał jej objawień i nauczania, wielu księży i zatwardziałych katolików patrzyło i nadal patrzy na nią przychylnie – a niekiedy z fanatycznym uwielbieniem.

Zapraszam w podróż w mroki średniowiecznych zabobonów, w miejsca, gdzie na co dzień lepiej się nie zapuszczać, jeśli chce się zachować zdrowie psychiczne. Przewodnikiem niech będzie tekst ks. dr. Waltera Rachwalika „Fenomen objawień mistycznych w życiu mistyczki Katarzyny Szymon” opublikowany w 2022 r. w ministerialnie punktowanym czasopiśmie „Studia Teologiczne”.

Cuda, cuda ogłaszają

Katarzyna była DDA, czyli dorosłym dzieckiem alkoholika, i już od dzieciństwa była dzieckiem wyróżniającym się. Jej chlający na umór ojciec, kawał skurwysyna, wyrzucił 10-letnią bosą dziewczynkę na mróz – zrozpaczona stanęła pod przydrożnym krzyżem, wybaczyła ojcu oprawcy i błagała Zbawiciela o to, by jej stary przestał pić.

Rys. WIDGET

Kiedyś w trakcie dziecięcej zabawy stanęła jak wryta, co po latach jej koleżanka skwitowała słowami: *To musiał być początek jej tajemniczego życia i pokutnego życia.* Innego razu, kiedy sadziła ziemniaki, znalazła się w ekstazie religijnej. Kiedy o niej opowiedziała, pewna kobieta jej poradziła, by trzymała to w tajemnicy, bo nie wiadomo, co to jest, a ludzie mówią – że cuduje.

U dorosłej kobiety pojawiły się krwawiące stygmaty, w ogóle dopadały ją liczne choroby, lecz odmawiała pójścia do szpitala.

Mistyczka po wielokroć wpadała w ekstazy, co nie wszystkim się podobało. Pewnego razu *przez jej usta miała przemówić Matka Boża, zapowiadając, że jeśli pewien ksiądz, który był negatywnie usposobiony do jej nadprzyrodzonych doświadczeń, „w tym tygodniu” nie zaniecha prześladowań mistyczki, nie odwoła zła, które popełnił względem jej osoby, to „w tym tygodniu umrze”.* Z relacji M. Godziek wynika, że ów oskarżyciel uparcie trwał przy swoim oraz że umarł zgodnie z zapowiedzią „w tym tygodniu”.

Dobrze, że Katarzyna nie była działaczką partyjną, bo IPN doktora Nawrockiego uznałby uśmiercenie księdza za zbrodnię komunistyczną…

Ale nie oznacza to, że mistyczka była niechętna księżom. Ks. Ryszard Kubasiak zapewnia, że w większości przypadków Katarzyna w trakcie ekstaz demaskowała błędy i grzechy świata, wzywając do modlitwy i pokuty. Zakonnik, o. W. Więckowski *często był świadkiem ekstaz K. Szymon, podczas których mieli przemawiać przez nią Zbawiciel, Matka Boża i niektórzy spośród świętych. Z jego opisu wynika, że przed duchowym uniesieniem prowadziła ona rozmowy z pielgrzymami i modliła się z nimi, a gdy nadchodził czas ekstazy, wyłączała się i wpatrując się w niewidzianą przez obecnych postać, prowadziła z nią rozmowę.*

Nadprzyrodzone zdolności

Katarzyna potrafiła być w dwóch oddalonych od siebie miejscach. A to coś nadprzyrodzonego, zdarzającego się bardzo rzadko. Jak to możliwe, wyjaśnia ks. dr Rachwalik: *Podczas trwania tego fenomenu ciało mistyka przybiera dwie formy. W pierwszej z nich zachowuje ono naturalną własną materialność i pozostaje ono w bezruchu spowodowanym zawieszeniem funkcji życiowych. Drugie ciało w formie mistycznej znajduje się w innym miejscu, a świadomość mistyka przebywa właśnie w tym drugim.*

Kolejną łamiącą prawa natury cechą Ślązaczki była ni mniej, ni więcej mistyczna ociężałość. W jej wyniku *ciało nagle nabiera tak ogromnego ciężaru, że nie da się go w żaden sposób przesunąć, podnieść czy przenieść.* Nie pytajcie mnie, czemu miałoby to służyć, bo nie mam bladego pojęcia.

Katarzyna doświadczała również mistycznego pożaru miłości (hipertermii). Wedle Rachwalika *u niektórych świętych zdarzały się przypadki prawdziwego poparzenia, serca rozżarzonego niczym piec, ciepła nie do wytrzymania dla obecnych, także gotujących się łez i krwi.* Zachorowała kiedyś na zapalenie płuc, bolało ją serce i miała bardzo wysoką temperaturę (nawet 42 stopnie Celsjusza), lecz nie umierała.

Kolejnym nadprzyrodzonym zjawiskiem w życiu kobiety była inedia, czyli utrata naturalnego apetytu. Między 30. a 70. rokiem życia Katarzyna podejmowała ścisły post, który rozpoczynał się w Środę Popielcową i kończył w Wielką Sobotę. Przez 40 dni całkowicie powstrzymywała się od posiłków, przyjmowała jedynie hostię w postaci komunii świętej. Podobnie pościła podczas adwentu. Pościła, bo chciała cierpieć *za cały świat, za kapłanów, za złe matki, te co dzieci nienarodzone zabijają.*

Telekineza, czyli zdolność przesuwania przedmiotów siłą własnej woli, była kolejną zdolnością Katarzyny. Kiedy kobieta nie miała sił iść do kościoła, a księża nie chcieli do niej przyjść z komunią, hostia sama do niej przylatywała z nieba. Normalka.

Oczywiście wśród charyzmatów Ducha Świętego jest *dar emitowania fluidów zapachowych. Zjawisko to uzewnętrznia się poprzez wydzielanie się z ciała mistyka intensywnego i miłego zapachu.* W trakcie ekstazy Katarzyna pachniała kwiatkami, co potwierdzało wiele osób. I działo się tak za wstawiennictwem Matki Bożej, a nie perfum od Coco Chanel.

Wisienką na torcie była zdolność Katarzyny do lewitowania, czyli unoszenia się w powietrzu. Potwierdzało ją, jak i wcześniejsze dary Ducha Świętego, wielu naocznych świadków.

Teraz lećmy do wizji przyszłości, którą stygmatyczka kreśliła, aczkolwiek w sposób mętny, lecz i tak przerażający.

Mamy przejebane

Na stronie internetowej o śląskiej mistyczce możemy odnaleźć treść jej nauczania i przepowiedni, które wyjawiła światu podczas swoich rozlicznych ekstaz. Jakkolwiek sama była wątłego zdrowia, możemy znaleźć świadectwa uzdrawiania przez nią innych ludzi. Modliła się gorliwie za kapłanów, biskupów, papieży, zwłaszcza zaś za papieża Polaka. 20 czerwca 1983 r. mistyczka spotkała się z Janem Pawłem II w Archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach, a wedle pewnej relacji, *JP2 serdecznie ją uścisnął, podając różaniec, a do towarzyszącego ks. biskupa Bednorza powiedział: „Proszę się zająć tą osobą”.*

Objawienia Katarzyny są nie w smak feministkom i naturystom, przestrzegała ona bowiem: *Pamiętajcie, matki, panny i dziewczynki, nie chodźcie nigdy w spodniach, bo to strój dla mężczyzn.*

Tyle lat mówię o tym, ale lud nie chce słuchać o tym, a kapłani nie zwracają na to uwagi. Kapłani, którzy nie upominają i nie zabraniają niewiastom chodzić w spodniach, będą za to cierpieć, bo jest to wielka pycha.

Żadna niewiasta nie może przyjmować Komunii Świętej w spodniach. Co jest dla niewiast, to dla niewiast, a co dla mężczyzn, to dla mężczyzn: Pan Jezus jest bardzo obrażony i zasmucony, że obecnie ludzie obnażają się i chodzą nago. Nie mają żadnego wstydu.

Przepowiednie stygmatyczki były ponure jak kac po nocce z mieszaniem alkoholi – prorokowała: *nadejdą trzy dni ciemności, ciężkie czasy, podczas których należy zaciemnić okna.* Przestrzegała: *Nie wychodźcie na podwórko i nie wyglądajcie na zewnątrz, bo nie wytrzymacie grozy, która będzie szła.* Maryja obiecała jednak, że Śląsk zachowa od zguby.

Ale po deszczu nieszczęść ten padół łez i rozpaczy zazna bożego miłosierdzia. Mistyczka mówiła: *Ze łzami w oczach proście: Jezu, nie karz nas, Jezu ratuj nas. Jezu wysłuchaj nas. Trzeba dużo prosić. I straszna kara przejdzie po modlitwie i będzie jeszcze dobrze na Ziemi.*

Kiedy wczytywałam się w opowieści o naznaczonym ogromnym bólem fizycznym i psychicznym życiu Katarzyny, w oczach stanęły mi łzy. Zastanawiałam się nad losem bezimiennych, kruchych, chorowitych, prostych dziewczyn, które nie miały tyle „szczęścia” co ona i odeszły w zapomnieniu, przymierając głodem lub żyły z piętnem wariatki. Próbowały one w mistycznej ekstazie odnaleźć swoją drogę, aby poczuć się kimś wartościowym, szanowanym, a może choć zasługującym na opiekę...

Zaiste rację miał Marks, że religia to opium ludu: narkotyk uśmierzający rozpaczliwą wręcz rzeczywistość, której nie sposób znieść.

Z.J.

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Głosowanie przez katolików na zwolenników cywilizacji śmierci nie jest spowodowane brakiem tematów w kazaniach,* ***lecz brakiem wiary, wypaczeniem sumienia i myślenia niezgodnego z zasadami logiki.***

ks. Janusz Chyła, X, 24 stycznia

■ *Lewicowość odpychała mnie antykatolicką, antyracjonalną ideologią.* ***To musiało pójść w tym kierunku, że ci, którzy wprowadzają zamęt w metafizykę, będą zdolni do takiego nadętego ego, iż przez swoją nieudolność i wykrzywiony intelekt zaczną niszczyć gospodarkę.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 30 stycznia

■ *Rządzącym przeszkadza wszystko, co jest związane z chrześcijaństwem, polskością, z historią Polski, z bohaterstwem Polaków, pięknem kultury polskiej. (…)* ***My, chrześcijanie, jesteśmy większością w Polsce i chcemy mieć swoje piękne placówki edukacyjne.***

Przemysław Czarnek, TV Trwam, 1 lutego

■ *Rząd Donalda Tuska po kolei usuwa wszystko, co stanowi o naszym dziedzictwie narodowym. W ten sposób działali naziści – zmieniali książki, usuwali bohaterów narodowych. (…) Oni chcą oddać dzieci na pastwę różnych lewackich szkodliwych organizacji, które będą instrumentalnie kierować dziećmi według własnej ideologii. (…)* ***Oni z jednej strony dają prawo dzieciom do tego, żeby mogły się dowolnie okaleczać, ale z drugiej strony (…) w sejmie jest petycja o zakazie spowiedzi dla dzieci poniżej 18. roku życia. To skandaliczne. To lewacka zakłamana ideologia.***

Marcin Warchoł, Radio Maryja, 28 stycznia

■ *Rozumiem, że resort edukacji nie chce, aby uczniowie, którzy zrezygnują z religii, musieli czekać na tych, którzy chcą się uczyć religii, ale ministerstwo zupełnie nie widzi krzywdy tych, którzy chcą się uczyć lekcji religii.* ***W sytuacji, kiedy zajęcia będą wcześnie rano lub późno wieczorem, to będzie dla nich duże obciążenie.***

bp Wojciech Osiał, Opoka.org.pl, 22 stycznia

■ ***Dlatego oni*** **[rząd – przyp. Red.]** ***uderzają w Muzeum, w św. Jana Pawła II, w Kościół rzymskokatolicki, żeby zniszczyć wartości, na których oparta jest nasza tożsamość narodowa, aby doprowadzić w konsekwencji do jawnego albo zakamuflowanego totalitaryzmu.*** *Ten totalitaryzm już się przejawia w wielu miejscach – np. w poprawności politycznej – więc dlatego uderzają w Muzeum „Pamięć i Tożsamość”. (…)* ***Jesteśmy dumni ze św. Jana Pawła II, a oni próbują nam tę dumę ukraść, próbują uderzyć w tożsamość narodową, polską.***

Mariusz Błaszczak, Radio Maryja, 28 stycznia

■ *Bóg nie stworzył Auschwitz, Bóg stworzył człowieka. Jest taki tekst z Pisma Świętego, że gdy stworzył człowieka, widział, że jest on dobry. Częścią tego dobra jest wolność. Dzięki wolności możemy robić rzeczy dobre i rzeczy złe.* ***Być może jest coś nie tak w tym, że my winimy Boga za nasze wolne wybory, za nasze wolne czyny. Bóg bardzo dużo cierpiał w każdym pojedynczym człowieku, który tutaj był. Bóg w tym miejscu bardzo cierpiał.***

abp Grzegorz Ryś, Oświęcim, 27 stycznia

■ *Przesłaniem dzisiejszego święta jest prawda, że* ***dzieci należą do Boga, a nie do rodziców, którym zazwyczaj łatwiej zaakceptować mieszkanie córki z chłopakiem bez ślubu niż wstąpienie do zakonu.***

ks. Janusz Chyła, X, 2 lutego

KLECHA

REKLAMA

eprasa.pl 71b84b908f

Pożegnanie z Maćkiem

Trudno pisać o zmarłych, zwłaszcza żywym tekstem.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Niedawno zmarł Maciej Petruczenko. Honorowy redaktor naczelny „Przeglądu Sportowego" nazywany był jedną z legend naszego zawodu. Znaliśmy się świetnie, lubiliśmy, często wymienialiśmy poglądami. Był jednym z ostatnich przedstawicieli mojego zawodu, z którymi na starość utrzymywałem w miarę częsty osobisty kontakt. Maciek wpadał do mnie do Konstancina pod Warszawą; z żoną odwiedzaliśmy go w jego restauracji „La Provincia" w Zalesiu Górnym, bardzo niedaleko.

W dymie, z flaszką w szufladzie

W „Przeglądzie Sportowym" ukazał się piękny, obszerny nekrolog Maćka. Mnie korci jednak, żeby napisać coś innego, w końcu – o czym za chwilę – pierwsza rada, jaką usłyszałem od Maćka, brzmiała, aby w pisanych tekstach nie popadać w rutynę. Zacznę więc od opisu scenerii, w której doszło do naszego spotkania.

Redakcja „Przeglądu Sportowego", w której zacząłem pracę, nie różniła się bardzo od innych w połowie lat 70. minionego wieku. Ciemno w niej było od dymu papierosowego, co specjalnie mi nie przeszkadzało, bo sam paliłem od podstawówki, nawet w tym czasie, gdy trenowałem piłkę ręczną (cała drużyna paliła). W ogóle zaciąganie się dymem traktowane było liberalnie. W szkole kurzyliśmy w kiblach, na studiach już oficjalnie nawet na zajęciach.

Tym, co na pewno odróżniało „Przegląd", była liczba sportowych proporczyków i dyplomów na ścianach, a także oprawione w ramki karykatury znanych zawodników autorstwa naczelnego rysownika gazety Edwarda Ałaszewskiego.

Charakterystyczny dla wszystkich redakcji był stukot maszyn do pisania. Najważniejsza różnica między redakcjami dzisiejszymi a ówczesnymi polega jednak na tym, że kiedyś buzowało w nich życie towarzyskie. Internet nie istniał, niemożliwa więc była praca online. Siedzieliśmy przy biurkach wiele godzin, nawet jak nie było nic do roboty. Niezbędnymi redakcyjnymi rekwizytami były więc nie tylko maszyny do pisania i popielniczki, ale nierzadko butelki piwa albo – częściej – czegoś mocniejszego.

Do takiej redakcji trafiłem. Z podziwem wpatrywałem się w legendy zawodu: Jerzego Zmarzlika, Lecha Cergowskiego, Grzegorza Aleksandrowicza, Mirosława Skurzewskiego, Stefana Rzeszota czy Zygmunta Weissa. Oni chyba nie zwracali większej uwagi na nowicjusza, w końcu wielu takich przewijało się przez redakcję „Przeglądu", a później gdzieś ginęli.

Żeby zahaczyć się w słynnej firmie, faktycznie trzeba było mieć sporo determinacji. Najpierw – i to bezpłatnie – siedziało się w sekretariacie i czekało na jakieś zlecenie. Chodziło o jazdę tramwajem, trolejbusem albo autobusem na miejsce zawodów i spisanie z protokołu sędziowskiego dokładnego wyniku. Niby można było poznać rezultat przez telefon, ale aparat telefoniczny nie był czymś powszechnym, na zainstalowanie go w domu czekało się latami, w obiektach sportowych też nie zawsze był dostępny. Ktoś, kogo poprosiło się o przedzwonienie po meczu, mógłby o tym zapomnieć, pójść na piwo – słowem, istniało wiele powodów żeby posłać tam żywego człowieka. A wynik – i to szczegółowy – musiał trafić do redakcji, tego akurat nie dało się wymyślić.

Mój pierwszy mecz

Następnym etapem dziennikarskiego wtajemniczenia w „Przeglądzie Sportowym" był etat stażysty. Przez pół roku trzeba było pracować w dziale informacji, gdzie zbierano wszystkie wyniki gromadzone przez takich jak ja wolontariuszy oraz korespondentów terenowych, a następnie publikowano łącznie z aktualnymi tabelami. Stażysta wykonywał także proste zadania dziennikarskie.

Akurat nikogo nie było w dziale piłki nożnej, na mecz drugoligowego Ursusa posłano mnie. Pocąc się nad klawiaturą maszyny, spłodziłem zgrabny – jak mi się wydawało – tekścik, ale zanim położyłem go na biurku sekretarza redakcji, zainteresował się nim Maciek Petruczenko i aż złapał się za głowę.

– Wojtek! – zawołał. – Największym wrogiem naszego zawodu jest sztampa! Przed tobą tysiące dziennikarzy spłodziły identyczne sprawozdania. Mój tekst zaczynał się od zdania: *Mecz miał dwa oblicza*. A później leciały akapity: *do przerwy* i *po przerwie*. Zawstydziłem się.

Od tamtego momentu bardzo pilnowałem, żeby nie popadać w rutynę. Ale jeszcze dziś czasem słyszę w TV i czytam w gazetach o dwóch obliczach meczu, o typowej szermierce na pięści bokserów, o piłkarskiej partii szachów na boisku, że niewykorzystane sytuacje lubią się mścić itp. Bardzo trudno uciec od pewnych klisz.

Pierwszą cenną radę usłyszałem więc od Maćka, który pracę w „PS" zaczął ledwie dwa lata przede mną. Później trafiłem pod opiekę giganta dziennikarstwa sportowego Lecha Cergowskiego, a stało się to po kolegium redakcyjnym poświęconym mojej skromnej osobie. Takie kolegia, które decydowały, czy stażysta może przejść na pełny etat (Maciek już był etatowcem), miały w sobie coś z draftu w koszykarskiej lidze NBA. Redakcyjni luminarze decydowali, pod czyje skrzydła trafi przyjmowany nowicjusz. Mnie w drafcie wybrał Cergo.

W „Przeglądzie" nie popracowałem długo. Słynny, też legendarny dziennikarz działu sportowego „Trybuny Ludu" i działacz kolarski Włodzimierz Gołębiewski przeszedł na emeryturę i poświęcił się wyłącznie pracy w Międzynarodowej Unii Kolarskiej, a redakcja – jeden z trzech współorganizatorów Wyścigu Pokoju – natychmiast potrzebowała zastępcy. Padło oczywiście na specjalistę kolarstwa z „Przeglądu Sportowego", choć miał on jeszcze mleko pod wąsem.

Dostałem atrakcyjną propozycję transferową: zarobki dwa razy wyższe, niż miałem w „PS", oraz talon na malucha. Poczułem się niemal jak kupowany piłkarz I ligi (Ekstraklasa jeszcze nie istniała). Ale żal było zostawiać „Przegląd", kolegów, niezwykłą tradycję najstarszego dziennika nieprzerwanie wydawanego w Polsce (od 1921 r.), a przede wszystkim szefa, którego zdążyłem pokochać jak kogoś bliskiego.

Maluch wyścigowy

Cergo rozwiał jednak moje wątpliwości.

– Nie zastanawiaj się ani chwili. Twoja żona jest w ciąży, forsa wam się przyda, nie mówiąc o własnym samochodzie. A przede wszystkim nareszcie będziemy mogli razem jeździć na wyścigi kolarskie – powiedział. Dotychczas było to niemożliwe; na jeden wyścig redakcje wysyłały tylko jednego dziennikarza.

– Szefie – zdziwiłem się – to szef mnie lubi? Przecież opierdol zbierałem od szefa niemal codziennie…

– Gdybym cię nie lubił i w ciebie nie wierzył – odpowiedział słynny dziennikarz – wcale bym cię nie opierdalał, szkoda by mi było czasu i nerwów.

Zmieniłem otoczenie, kontakty z kolegami z „Przeglądu" jednak zachowałem, tym bardziej że siedziby redakcji mieściły się prawie obok siebie. Łącznikiem był słynny wśród braci dziennikarskiej kiosk z piwem i kaszanką prowadzony przez niejakiego „Magistra" oraz kawiarnia Balbinka, do której Cergo zwykł wpadać na jedną (naprawdę tylko jedną) lampkę koniaku w południe. Ja do „Magistra" zaglądałem okazjonalnie, bo jedna z zasad, które wpoił mi Lech Cergowski, nakazywała zachowywać trzeźwość w redakcji, natomiast odbijać sobie, i to z nawiązką, okres abstynencji podczas wyjazdów na zawody.

Z Maćkiem nie spotykałem się na imprezach. On specjalizował się w lekkoatletyce, mnie trzymano z dala od tej dyscypliny. Ale spotykaliśmy się przy innej okazji. Petruczenko był człowiekiem niesamowicie aktywnym. Do śmierci, która nastąpiła nagle, grał w tenisa, pisał felietony w „Przeglądzie Sportowym", był właścicielem i redaktorem naczelnym bezpłatnego tygodnika „Passa", rozdawanego w południowej Warszawie, i prowadził włoską restaurację La Provincia. Dopiero jakiś rok temu powiedział mi, że na tę restaurację nie ma już siły, znalazł wspólników, którzy świetnie zajęli się interesem. Skąd na to wszystko brał czas, nie spytałem i już nie zapytam.

W „Przeglądzie" Maciek zajmował się nie tylko pisaniem o lekkoatletyce. Był organizatorem piłkarskiej drużyny FC Publikator, w której grali dziennikarze sportowi, z nim samym na czele. Nieistniejąca już popołudniówka „Express Wieczorny" (w ramach podziału łupów po PZPR wpadła w ręce PiS i spotkał ją marny los) prowadziła fantastyczną akcję piłkarskiej ligi szóstek. Różne środowiska wystawiały sześcioosobowe drużyny, rozgrywano mecze na szkolnych boiskach, a wyniki publikowano na łamach najpopularniejszego dziennika PRL.

Na mecze FC Publikator przychodziłem zazwyczaj w charakterze widza i żeby sobie pogadać z kumplami. Nieistniejąca Bozia poskąpiła mi futbolowego talentu. Lewa noga – żeby użyć tak tępionej przez Maćka sztampy – służyła mi tylko do wchodzenia do tramwaju. Teraz – za sprawą choroby – obie odmówiły posłuszeństwa.

Rosja i konie

Zmienił się ustrój, ja organizowałem, a później prowadziłem popularny swego czasu miesięcznik „Sukces", a Maciek wziął się za pionierskie przedsięwzięcie, jakim był rozdawany za darmo i utrzymujący się tylko z reklam tygodnik „Pasmo", przemianowany później na „Passę". W tygodniku sam sporo pisał.

Znaleźliśmy wspólny pozasportowy temat. Maćka interesowała historia, zwłaszcza zaś życie w Polsce pod zaborem rosyjskim. Tak się składa, że moja druga żona, Rosjanka, ale już właściwie Polka, także się tym interesuje i ma na koncie kilka publikacji. Szczególnie ciekawa jest książeczka, prezentująca nazwiska Polaków nagrodzonych przez gabinet jego imperatorskiej wysokości za wierną służbę caratowi. Nie powiem wam z głowy, ile znalazło się tam nazwisk (sama publikacja gdzieś mi się zapodziała), ale na pewno więcej niż uczestników powstania styczniowego. Niemal każdy z zacnych polskich rodów może znaleźć swoich przodków. Żona pisała nawet na ten temat doktorat na Uniwersytecie Warszawskim, ale jakoś zatrzymała się w pół drogi.

Maciek zaistniał na łamach naszego dziennika cotygodniowego, ale – jeśli można tak powiedzieć – w sposób pośredni. Staram się w tym miejscu pisać o różnych dyscyplinach sportu, o niektórych mam pojęcie mniej niż średnie. Zachciało mi się zająć wyścigami konnymi. Tymczasem na Służewcu ostatni raz byłem jako uczeń liceum. Ojcem jednej z koleżanek był dyrektor warszawskiego toru wyścigowego i załatwił naszej paczce tzw. podkówki, czyli znaczek upoważniający do wstępu, i to nie byle gdzie, bo na trybunę honorową.

Zarzucaliśmy więc na ramiona samodziałowe marynarki (tak było elegancko), kto miał, uzbrajał się w przeciwsłoneczne okulary i dumnie paradowaliśmy wśród koniarzy. Dziś zapewne małolatów pogoniliby nie tylko z trybuny honorowej, ale w ogóle z obiektu. Mówimy jednak o innych czasach.

Na wyścigach znał się za to świetnie Maciek, wszak Służewiec leży po południowej stronie stolicy i w „Passie" znajdował się stały kącik poświęcony temu obiektowi i wszystkiemu, co tam się dzieje. O wyścigach pisał w „Passie" uznany fachowiec, ale Maciek, jako redaktor naczelny, musiał czytać wszystkie teksty i z czasem sam stał się dobrym specjalistą, choć – wypada zauważyć – nie obstawiał gonitw.

Umówiliśmy się na dłuższą pogawędkę, notowałem każde słowo, ale to jeszcze nie był koniec. Maciek Petruczenko był pedantem. Spytał, czy może przeczytać tekst, a później podyktował mi poprawki. Czasem popełniam błędy, co – słusznie – wytykają mi Czytelnicy w e-mailach. Tamten tekst był na pewno bezbłędny.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 5.02.2025 r.

eprasa.pl 71b84b908f

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Tutaj mam wszystko policzone – mówi Elon Musk, nadprezydent USA, hajlując i popierdując na zmianę.

Pokazuje notatki na iPadzie.

– Jeśli Kanadyjczycy nie będą kupować naszego Jacka Danielsa, to fabryka Jacka Danielsa na tym zarobi? – upewnia się prezydent Donald Trump.

– Na tym polegają prawa ekonomii – potwierdza Musk. – To tak jak z rakietą, która jeśli najpierw wzleci, to potem musi spaść.

– A jak poleci na Marsa? – żartuje Trump i natychmiast podkreśla, że żartuje, żeby nie wprawiać Muska w zakłopotanie. Bo zakłopotany Musk to Musk wściekły. A wściekły Musk to kłopoty. A Trump nie po to wygrał wybory, żeby mieć kłopoty.

– Francuzi mają kupować nasze wino, sery i Tesle – ciągnie nadprezydent, co prezydent rozumie doskonale, dlatego dodaje: – Włochom powinniśmy sprzedawać makaron, a Belgom czekoladę.

– Polakom wódkę, a Meksykanom ryż – dorzuca Musk, który nie przepada za wódką. Woli colę.

– Ryż to chyba Chińczykom…

– Meksykanom też, żeby mieli z czego robić paellę.

Trumpowi się wydaje, że paellę robi się w Hiszpanii, ale woli milczeć, bo nie lubi kłopotów.

– A bitcoiny? – pyta ostrożnie.

– Bitcoiny teraz skupimy, a sprzedamy na górce – odpowiada Musk, który ma łeb do interesów, co Trumpowi bardzo imponuje.

– To teraz nie ma górki?

– Nigdy nie ma takiej górki, żeby nie mogła być wyższa – wyjaśnia nadprezydent. – Trzecie prawo Muska.

– Chciałbym polecieć do Polski – zmienia temat Trump.

– Żeby sprzedać wódkę? – pyta Musk i się śmieje.

Ale prezydentowi nie jest do śmiechu. Poważnieje.

– Polacy mnie kochają – szepcze wzruszony.

Nadprezydent zerka do iPada, po czym informuje z niechęcią: – Polacy kupują tyle Tesli, co kot napłakał.

Trump smutnieje.

– Mimo to polecimy do Polski! – woła Musk, żeby pocieszyć Trumpa. – Jest tam coś, co mnie bardzo interesuje.

Prezydent spogląda pytająco.

– Gość się nazywa Grzegorz Braun – odpowiada nadprezydent. – Wygląda jak produkt niezbyt zaawansowanej sztucznej inteligencji, ale wietrzę w tym podstęp.

– DeepSeek? – pyta Trump zaintrygowany.

Zamiast odpowiedzi widzi hajlowanie i słyszy popierdywanie.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN pisze program wyborczy. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** zagląda jej przez ramię i się mądrzy.

Senyszyn: – Po pierwsze i najważniejsze: przyszło już dużo podpisów, za co bardzo, ale to bardzo dziękujemy. A że potrzeba grubo ponad 100 tysięcy – najlepiej koło 150 – więc równie bardzo prosimy o mobilizację. Zbierajcie, przysyłacie, nie lękajcie się.

Wołk-Łaniewska: – Dołączam się do prośby. Ale skoro się tak zgadało o wyborach: masz już manifest wyborczy?

– Mam. Zatytułowałam go „3 x TAK”.

– Tytuł może nieoryginalny, ale za to sprawdzony. A czemu przytakujesz?

– Ochronie przed drożyzną, tanim mieszkaniom, świeckiemu państwu.

– To generalnie słuszne hasła są, tylko jakieś takie ogólne ździebko. Jak, dajmy na to, chcesz zwalczać drożyznę?

– Między innymi zmniejszeniem obciążeń podatkowych.

– No nie mów mi takich rzeczy. Jak słyszę o obniżaniu podatków, to odbezpieczam pistolet…

– Poczekaj, poczekaj… To może jednak zależy od tego, jakich podatków. VAT na żywność to nie to samo, co likwidacja trzeciego progu PIT.

– Której dokonało – przypomnijmy z radością – Prawo i Sprawiedliwość za swoich pierwszych rządów. W ramach walki z elitami naturalnie.

– Naturalnie. Uważam, że musimy wrócić do 0 proc. VAT na żywność, a na pozostałe towary – do stawek VAT sprzed 2011 r. Przypomnijmy, że rząd PO–PSL podniósł stawkę podstawową VAT z 21 do 23 proc., a obniżoną – z 7 do 8 proc. Miało być na trzy lata, a zostało do dziś. Gospodarstwa domowe w Polsce przez tych 14 lat traciły po około 6 mld zł rocznie. W sumie ponad 80 dużych baniek.

– I ja głosuję na twój pomysł obydwiema rękami – może VAT na jachty i Tesle należałoby wyłączyć z tego obniżenia – ale zaraz ci liberałowie powiedzą, że to 6 mld zł rocznie mniej w budżecie i skąd je wziąć.

– Na przykład z ograniczenia wydatków na obronność.

– Yes, yes, yes!

– Mówiłam, że trzy razy tak. Wydawanie 4,7 proc. PKB na wojsko i zbrojenia to głupota i megalomania. Polska sama się nie obroni.

– Ja w ogóle nie sądzę, żebyśmy się musieli przed kimkolwiek bronić, ale to już jest myśl całkiem niecenzuralna.

– Tak czy inaczej – konieczne jest ograniczenie wydatków na obronność do rozsądnego poziomu i przeznaczenie nadwyżki na ochronę przed drożyzną. Budżet MON plus Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych w 2023 r. wyniósł 137 mld, a w obecnym ma być 187 mld zł. Gdyby zmniejszyć go do 3,5 proc. PKB…

– Nadal za dużo.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Ale gdyby – to zostałoby nam w budżecie prawie 50 dużych baniek. Na likwidację VAT na żywność, na budownictwo społeczne. Te 4,7 proc. PKB to czyste szaleństwo. Nawet Stanom Zjednoczonym coś takiego nie przychodzi do głowy, choć w kwotach bezwzględnych wydają na obronność więcej niż jakikolwiek inny kraj. Congressional Budget Office prognozuje, że wydatki na obronność w stosunku do PKB będą spadać – z 2,9 proc. PKB w 2024 r. do 2,5 proc. w 2034 r. Naprawdę nie musimy być bardziej trumpowi niż Trump ani bardziej amerykańscy niż marines.

– A skoro już jesteśmy przy Trumpie: czy „cła” to słowo piękniejsze od „religii”?

– Trudny wybór…

– Prawda? Trump najpierw mówił, że „cła” to najpiękniejsze słowo świata, ale później, w swoim inauguracyjnym wystąpieniu, przyznał, że przewartościował i teraz jest czwarte, po „Bogu, miłości i religii”.

– Łatwiej znaleźć zrozumienie dla ceł niż dla religii… Ale z tym pięknem bym nie przesadzała. Trump nie ma pojęcia o gospodarce ani o międzynarodowym handlu…

– A po co to prezydentowi? Popatrz na swoich konkurentów…

– Coś w tym jest. Trump chciał się pokazać jako szeryf, który wzbudza respekt i postrach, co zapewne spodobało się jego wyborcom, którzy też ekonomicznych zależności nie rozumieją, a pokaz siły owszem. Przecież na tym jedzie Nawrocki.

– Wracając do ceł: czy możesz mi wytłumaczyć jak profesor ekonomii czterolatkowi – to ponoć dziś poziom przeciętnego studenta – co z tego wyniknie?

– To już widać. W wyniku decyzji o nałożeniu dodatkowych 10-procentowych ceł na towary z Chin wartość akcji Tesli na giełdzie natychmiast spadła o 5 proc., bo przecież połowę samochodów Tesla produkuje w Chinach, a Europa wcale nie chce ich kupować.

– Co Trump ma nam za złe. „Nie biorą naszych samochodów, nie biorą naszych produktów rolnych, nie biorą od nas prawie nic, a my bierzemy od nich wszystko” – lamentował ostatnio. Może dlatego, Donald, że robicie gówniane samochody i gównianą żywność. Scenka z „Nietykalnych” Briana de Palmy mi się przypomniała: właściciel baru mówi do mafioza od Ala Capone: „To piwo, które sprzedajesz, nie jest dobre”. A mafiozo na to: „Ono nie ma być dobre, ono ma być kupowane”.

– Pamiętam: potem mafia wysadziła ten bar, zabijając małą dziewczynkę.

– Dziewczynka dziewczynką, ale baru szkoda. Choć to było w czasach prohibicji, więc i tak był bez sensu… Wracając wszakże do ceł: masz jakiś pomysł, co Trump chce przez to zyskać? Ekonomicznie, nie propagandowo. Bo przecież efekt, o którym wszyscy mówią – wzrost cen dla konsumentów – jest chyba nieunikniony.

– I może o to chodzi. Jeśli przez cło towary importowane staną się dużo droższe od krajowych…

– To ludzie zaczną kupować krajowe.

– Dokładnie.

– Ale przecież to działa w obie strony. W drugą może nawet mocniej, bo dochodzi element emocjonalny. Kanadyjskie bary i sklepy wycofują amerykańską whisky, a nad pustymi miejscami na półkach wieszają kartkę z napisem „Buy Canadian Instead”.

– I mają rację, amerykańska whisky jest nie do picia.

– I pachnie chińskim piórnikiem…

– Czym, przepraszam?

– W PRL były takie chińskie piórniki: plastikowy segregator z klapką zamykaną na magnes. Na wierzchu był jakiś kolorowy obrazek. Na moim na przykład dziewczynka na tle globusa. Widziałam ostatnio taki sam na Allegro, za 490 zł, a ja, kretynka, swój gdzieś zapodziałam…

– 40 lat minęło, miałaś prawo.

– Tak się pocieszam. Za to misia zezolka, co też potrafi kosztować cztery stówy, mam do dziś, strzeże włącznika światła w kiblu. Wracając do piórnika: on miał taki bardzo specyficzny zapach…

– Jaki?

– Dokładnie taki jak Jack Daniels.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że omamy węchowe są pierwszą oznaką schizofrenii…

– Pewnie ja, bo zawsze to powtarzam. Ale to nie omam, zapach jest ten sam.

– Może ten chiński plastik był robiony z kukurydzy jak amerykańska whisky.

– No i widzisz, jak wszystko mi umiesz wytłumaczyć.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 71b84b908f